



**Anthea Edgcome**



*Uparciucha*

## *ROZDZIAŁ 1*

Linia francuskiego wybrzeża stawała się coraz bardziej wyraźna, tak że widziała je już doskonale. Trzymając się mocno liny okrętowej, obserwowała teraz z zainteresowaniem młodą angielską rodzinę, którą cechowała wyjątkowa odporność na ostrą kwietniową pogodę.

- Kochanie, to beznadziejna sprawa.

Te sceptyczne słowa wypowiedziane przed kilkoma dniami przez jej kuzyna Richarda, zawsze powracały do niej w najmniej odpowiednich momentach. W jego przypadku wszystko było w najlepszym porządku: miał ojca i matkę, która była jej ciotką. Ładna, jasnowłosa żona i dwaj synowie uzupełniali jego rodzinę. Richard miał więc swoją tożsamość. Jo - nie.

Gdy można było już wyraźnie dojrzeć port w Dieppe, ulga, jaką odczuła z powodu uspokojenia się morza, zmieszana się z obawą, zwątpieniem - i z odrobiną strachu. Jeśli odsłoni osobistą tajemnicę, co ją wówczas czeka: odrzucenie, a może nawet wrogość?

Popołudniowe słońce zaczęło nieśmiało prześwitywać poprzez pędzone wiatrem chmury, kiedy samochodem opuszczała prom, aby dołączyć do kolejki pojazdów, oczekujących na kontrolę imigracyjną. Teraz, gdy była już na francuskiej ziemi, odzyskała trochę odwagi. To był przecież kraj, w którym się urodziła.

Nawet jeśli nie miała jego obywatelstwa, w połowie przynależała do niego i to się liczyło. Rodzice Richarda przyjęli ją do rodziny, ale babcia Pearce zawsze ją uważała za intruza. Była dzieckiem jej młodszej córki, o której chciała zapomnieć.

Kolejka samochodów posuwała się do przodu i Jo znalazła się twarzą w twarz z grubym, niskim urzędnikiem.

- Miss Joanna Carlton... Pani przyjechała do naszego kraju gotować? - To uprzejme pytanie nie ukrywało jednak nuty niedowierzania, że ktokolwiek we Francji, ojczyźnie gastronomii, mógłby potrzebować angielskiej kucharki.

- Zawsze podziwiałam francuską kuchnię, monsieur - powiedziała po francusku. - Zdobyłam umiejętności w Cordon Bleu, gdzie campingi są pełne cudzoziemców.

Płynna francuszczyzna w połączeniu z czarującym błyskiem w aksamitnych brązowych oczach, zupełnie rozbroiła urzędnika, który zakończył odprawę.

Zachwycona powitaniem wyjeżdżała z doków z poczuciem lekkości, błogosławiąc w duchu ciotkę za jej naciski, aby uczyła się języka swego ojca. Pomyślała, że cieszyłby się, gdyby wiedział, jak świetnie mówi po francusku.

Nagle poczuła się przytłoczona ogromem oczekującego ją zadania. Przybyła do Francji z mocnym postanowieniem odnalezienia ojca. Wiedziała o nim niewiele, mógł już nie żyć albo mógł być gdzieś w świecie. Jedynym punktem zaczepienia była pocztówka z kilkoma słowami, napisanymi przez zmarłą matkę, przechowywana jak skarb. To wyglądało na beznadziejną sprawę!

Słowa kuzyna dręczyły ją jeszcze przez kilka godzin, kiedy jechała wolno przez ciemne, sieczone deszczem normandzkie drogi. Cel jej podróży nie był łatwy do odnalezienia. Właściciel oberży w mijanej wiosce dał jej dokładne wskazówki. Teraz nie była już tego taka pewna. Gdzieś daleko z przodu pojawiły się reflektory przeszywające ciemności. Właśnie zauważyła znak „Le Camping”, kierujący na lewo.

- Nareszcie! - westchnęła z ulgą. Zatoczyła łuk na drodze i... znalazła się w zwałach świeżego żwiru. Zatrzymała się więc zastanawiając się, co robić dalej.

Odpowiedź nadeszła, nim zdążyła cokolwiek postanowić. Nagle w polu widzenia pojawiły się reflektory, które powiększały się z bezlitosną szybkością.

W panice włączyła lewy kierunkowskaz modląc się, by nadjeżdżający z przeciwka w porę ją zauważył. Obcy samochód skręcił bez ostrzeżenia w słabo oświetloną bramę z kutego żelaza i zatrzymał się z piskiem opon.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu. W świetle reflektorów pojawił się wysoki mężczyzna w krótkim jasnym płaszczu z postawionym kołnierzem. Poczula się nieswojo, oczekując potoku francuskich złożeń.

- Proszę pamiętać, że jest pani we Francji! - powiedział mężczyzna świetną angielszczyzną.

Zaskoczona Jo nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Jeśli nie jest pani w stanie przestrzegać naszych przepisów, madame...

- Mademoiselle - szybko poprawiła Jo.

- Mademoiselle - jeśli nie jest pani w stanie przestrzegać naszych przepisów, to nie powinna pani wjeżdżać do Francji. Całe szczęście, że to jest mój dom, w innym wypadku... kto wie, co mogłoby się wydarzyć?

Poczula się zażenowana, słysząc wyrzuty obcego mężczyzny. Wyjaśniła, że znalazła się w sytuacji przymusowej. Swą odpowiedź zakończyła kilkoma uwagami pod adresem robotników, pozostawiających na noc zwały żwiru.

- Camping jest jeszcze zamknięty. Nie oczekujemy gości tak wcześnie. Obawiam się, że będzie pani musiała udać się gdzie indziej. Proponuję zawrócić do wsi, gdzie jest całkiem niezła oberża.

W jego słowach wyczuła ironię. Jeśli głupia angielska dziewczyna przyjeżdża tu w kwietniu, to powinna być przygotowana na kłopoty.

Pomyślała, że chyba należy powiedzieć mu, kim jest

- Ależ ja to wszystko wiem! - zawołała trochę za głośno. - Jestem Jo Carlton, nowa kucharka.

- Niestety - powiedział szorstko - przyjechała pani w złe miejsce. Jeśli mi pani powie, dokąd chce jechać, to zrobię wszystko, aby pani pomóc.

- Czy to nie jest camping „Chateau des Fleurs?” - zapytała niepewnym głosem. - Mam przy sobie umowę i...

Na chwilę zapadła cisza, po czym mężczyzna powiedział zrezygnowany:

- Widzę, że będzie pani musiała pójść za mną.

Wyjechawszy z alei wysokich, ociekających deszczem drzew, Jo wzięła zakręt wokół trawnika i zajechała przed obszerny dom. Nie można było dokładnie ocenić jego rozmiarów ze względu na czarne chmury przesłaniające niebo. Dwie bliźniacze lampy rozmieszczone po obu stronach wejścia oświetlały niskie schody, prowadzące do wybijanych ćwiekami drzwi, pasujących raczej do twierdzy niż zwykłego domu. Francuz rozwarł je na oścież.

- Proszę wejść - zawołał do niej, kiedy wyszła z samochodu.

Myśl o wejściu do obcego domu na zaproszenie zupełnie obcego mężczyzny zatrzymała ją na chwilę, ale nie przebyła przecież takiej drogi, aby stchórzyć w ostatnim momencie. O nie!

W przyplywie odwagi weszła do obszernego, wyłożonego boazerią hallu, oświetlonego kandelabrami. Wspaniałe schody prowadziły na półpiętro z galerią, skąd dochodził odległy kobiecy śpiew. Mężczyzna zamknął energicznie drzwi i z wyciągniętą ręką odwrócił się ku niej.

- Jestem Filip de Beauclaire, właściciel Chateau des Fleurs, a na panią mówią... Joe? To jest chyba męskie imię?

- Joanna. Joanna Carlton - pośpieszyła z wyjaśnieniem, potrząsając jego dłonią. - Mówią na mnie Jo, bez „e”.

Był atrakcyjnym, energicznym mężczyzną o sylwetce sportowca i Jo przez chwilę zastanawiała się, czy grywa w rugby. Żaden ze znajomych mężczyzn nie pasował do wyobrażenia, jakie wytworzyła sobie o ojcu, (nikt nie wiedział, kto nim jest), ale gdyby nagle okazało się, że jest on starszą wersją Filipa de Beauclaire, byłaby bardzo zadowolona. Szare oczy z zielonymi plamkami i jasne, kasztanowate włosy nie odpowiadały jej wizerunkowi Francuza.

Co prawda, wyobrażała sobie ojca z ciemnymi oczami i czarnymi włosami, lecz uśmiechający się do niej mężczyzna mógł wpłynąć na zmianę jej wyobrażenia.

- Joanna - wolno powtórzył de Beauclaire, akcentując drugą sylabę. - Wolę pani imię w pełnym brzmieniu... Jednak nadal nie bardzo wiem, dlaczego pani przyjechała. Pani mówi, że jest kucharką? Owszem, dawaliśmy ogłoszenie, że poszukujemy kogoś do prowadzenia restauracji, ale tylko do francuskich czasopism hotelarskich. Jak dotąd nikogo nie zatrudniłem. Ponadto... - Urwał i przesunął wolno wzrokiem od czubka jej głowy do półbutów z czarnego zamszu. - ... jest pani za młoda, aby podjąć tak odpowiedzialną pracę.

Zdenerwowana Jo zaczęła rozpinąć krótką czerwoną kurtkę, chcąc się trochę uspokoić. Dołożyła tylu starań, by wyglądać na starszą, ale wszystko na nic. Nie pomógł londyński fryzjer, usiłujący ułożyć jej niesforne loki w coś bardziej wyszukanego, ani też dobrze skrojone czarne spodnie i odpowiednio do nich dobrany sweter, z pasami czerwieni w kolorze kurtki. Widać było, że te rekwizyty nie zwiodły pana de Beauclaire'a. Nie potrzeba wcale dużo czasu, żeby Jo przyznała się, iż w podaniu o pracę skłamała na temat swego wieku. Serce biło jej mocno.

- Mam tu umowę o pracę. - Wyciągnęła z torebki cenny kawałek papieru i pomachała mu przed nosem. - Madame de Beauclaire zatrudniła mnie bez zastrzeżeń.

- Co zrobiła?

Gdy tylko skończył, z galerii na górze dał się słyszeć głos:

- Filip! Jesteś w domu! Nie spodziewałam się ciebie przed piątkiem.

Niska, pulchna kobieta o wyblakłych jasnych włosach zbiegła ze schodów z uśmiechem na twarzy.

- Co u Henriego? - Pocałowała go najpierw w jeden policzek, a potem w drugi. - Czy wszystko ustalone? - Nagle przerwała dostrzegając Jo. - Kim... jest ta dziewczyna?

- Mamo - powiedział poważnie - czy zaangażowałaś pannę... Carlton do prowadzenia restauracji?

Kobieta zmarszczyła brwi, lecz wkrótce jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Myślałam, że Jo Carlton jest mężczyzną, ale to nic nie szkodzi! Należało kogoś zatrudnić, bo sezon się zbliża. On... Ona ma znakomite kwalifikacje.

- Ale jest Angielką!

- Czy to ma jakieś znaczenie? - niewinnie zapytała madame. - Inni wydawali się tacy... tacy nieodpowiedni, więc zatrudniłam Jo Carlton, spodobало mi się to nazwisko. Zapomniałam, że on... ona miała dzisiaj przyjechać. Och! Proszę nam wybaczyć - powiedziała po angielsku, zwracając się do Jo. - To było nieuprzejme z naszej strony, mówić tak szybko w naszym języku. Filipie, powinnam mówić wolniej.

Syn chrząknął zmieszany i powiedział po angielsku:

- Proszę wybaczyć, panno Carlton. Powinienem przedstawić moją matkę, Francine de Beauclaire.

Jo poczuła serdeczny uścisk wypiełgnowanej dłoni.

- Dobry wieczór - powiedziała po francusku. - Rozumiem, co państwo mówią.

Filip rzucił spojrzenie pełne podziwu.

- Filipie, to biedne dziecko jest zupełnie wyczerpane - powiedziała matka, powracając z wyraźną ulgą do ojczystego języka. - Zabierz ją do saloniku. Albo nie, poszukajmy bardziej wygodnego miejsca. W kuchni będzie nam najcieplej. Proszę tędy, panno Carlton.

Jo pochwyciła spojrzenie Francuza, gdy wyciągnął rękę po jej dokumenty.

- Uczyłam się w Cordon Bleu - powiedziała, podając mu umowę o pracę z dopiętą kopią podania.



- Zobaczymy - odpowiedział. - To zadanie mogłoby przerazić nawet doświadczonego mistrza kuchni. Wymaga bowiem wielkiego znawstwa i wielkiej energii.

Znowu zmierzył ją nieprzyjaznym wzrokiem. Jeśli zamierzał ją zniechęcić, to był na najlepszej drodze do osiągnięcia celu.

- Zamierzam - ciągnął dalej - uczynić z restauracji miejsce, do którego turyści chętnie powracaliby, powiększając w ten sposób dochód z campingu. Z konieczności byłem tu nieobecny prawie przez miesiąc, co spowodowało wiele kłopotów w naszych przygotowaniach do nadchodzącego sezonu. Moja matka chciała pomóc. Obiecała zrobić spis odpowiedzi, jakie otrzymaliśmy, ale ja... - spojrzał z góry na Jo - ... potrzebuję Francuza albo doświadczoną kobietę, nie zaś kogoś prosto ze szkoły gastronomicznej.

Nogi poczęły uginać się pod nią. Mnóstwo czasu upłynęło od chwili, gdy zjadła ostatni posiłek. Zamknęła oczy, czując jak rośnie zmęczenie.

- Dobrze się pani czuje, panno Carlton?

Nie potrzebowała udawać, bo to wszystko działo się naprawdę. Zachwiała się i wówczas Filip wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku kuchni, gdzie matka przygotowywała dla niej kolację.

- Musisz coś zjeść, moja droga. Teresa, nasza gospodyni, poszła w odwiedziny do siostry, więc ja coś ci przygotuję. Dla ciebie też, Filipie?

Po kawie i lekkim omlecie Jo poczuła się lepiej. Kiedy starsza pani wyszła, by przygotować sypialnię, Filip rozłożył na dużym drewnianym stole umowę o pracę i podanie. Studiował je dokładnie, marszcząc się przy tym. Wolno podniósł wzrok, spokojnie wytrzymując jej nerwowe spojrzenie i odchylił się w krześle, aby przypatrywać się czemuś w olbrzymim dębowym kredensie stojącym za nią.

- Według tych pism, ma pani niezłe kwalifikacje, tylko trochę za mało doświadczenia. - Skinął podaniem w jej kierunku. - Czy te wszystkie informacje są całkowicie prawdziwe?



- No, tak... - powiedziała słabym głosem żałując, że nie starała się o jakąś pracę w Anglii.

Od czasu poznania okoliczności swoich narodzin, o czym delikatnie opowiedziała jej ciotka, odczuwała gorącą potrzebę podjęcia pracy we Francji, by mieć szansę odszukania ojca. Dar wyczarowywania wspaniałych posiłków z niczego zapewnił jej miejsce w znanej szkole gastronomicznej. Jeszcze nie wysechł atrament na jej dyplomie, gdy zaczęła sprowadzać francuskie magazyny kulinarne. Z miesiąca na miesiąc przeglądała je bez większego sukcesu, aż pojawiło się ogłoszenie de Beauclaire'ów.

- Dwadzieścia osiem lat, rozumiem - powiedział pod nosem Filip de Beauclaire i spojrzał z niedowierzaniem w jej kierunku.

- Dwadzieścia cztery... Skończę dwadzieścia cztery tego lata - powiedziała, starając się ukryć drżenie głosu.

- Dwa lata w restauracji w York?

- Troszkę krócej.

- Ile? - zapytał ostro.

- Około roku.

Przez zaciśnięte usta wydusił następne pytanie:

- Gotowanie dla londyńskiej firmy architektonicznej? Jak długo? Nie wierzę, że trwało to przez trzy lata.

- Rok i miesiąc u architektów.

Ku własnemu zaskoczeniu Jo powiedziała to prawie normalnym głosem. Teraz, kiedy prawda wyszła na jaw, poczuła się pewniej, ale za to Francuz tracił kontrolę nad swoimi nerwami. Gwałtownie przechylił się do przodu, że aż się wzdrygnęła.

- Przypuszczam, że wszystko inne trzeba też skrócić o połowę albo o dwie trzecie? - Pani ma dopiero dwadzieścia trzy lata. Nie mając pojęcia o hotelarstwie przyjeżdża tu pani sądząc, że dostanie na lato tak odpowiedzialną pracę. Czy zawsze jest pani taka bezczelna?

- Ja... - zaczęła, ale nie została dopuszczona do głosu.

- Pani oszukuje nie tylko mnie, również moją matkę, a podając fałszywe dane, sama siebie oskarżyła!

Jo poczuła się dziwnie i to nie z powodu zmęczenia. Szarozielone, skrzące się z gniewu oczy wprost ją paraliżowały. Musi się trzymać! Przez chwilę myślała, że za moment Francuz porwie umowę na kawałki. On jednak wziął głęboki oddech i spytał:

- Dlaczego pani skłamała? Dlaczego chce pani dostać właśnie tę pracę? We Francji są tysiące campingów, gdzie poszukują studentów do pomocy w sezonie...

- Nie jestem studentką!

- ... więc dlaczego wybrała pani właśnie ten? - dokończył.

Jo wyprostowała się i złożyła splecione ręce na stole, jakby w oczekiwaniu na łaskę.

- Przyjechałam odszukać mego ojca.

Przez dłuższą chwilę Filip nic nie mówił, a cały jego gniew rozproszył się.

- Proszę mi wszystko wyjaśnić.

- Musiałam przyjechać, czy pan tego nie rozumie? Zobaczyłam pańskie ogłoszenie, Chateau des Fleurs - Zamek Kwiatów. To był mój jedyny trop. Na tę szansę czekałam przez całe życie.

Konieczne było przekonanie go, że musi pozostać we Francji, ale z powodu zmęczenia i braku pewności mówiła chaotycznie.

Filip napełnił filiżanki kawą.

- Niech pani opowie mi o sobie.

- To raczej dotyczy mojej matki, która... która zmarła.

- Mamy dużo czasu, zamieniam się w słuch.

Jo uniosła głowę.

- Aż do czasu, gdy pan znowu się zdenerwuje. Nie lubię, jak ktoś na mnie krzyczy.

Na moment zapadło wymowne milczenie i Jo myślała, że za chwilę wybuchnie śmiechem.

- Szczerze przepraszam. To wina mojej angielskiej babki, która miała ogniste włosy i trudny charakter.

- Więc i pan jest trochę Anglikiem? - ucieszyła się Jo, po czym rozpoczęła swoją opowieść.

- Moja matka nazywała się Anna Pearce. Kiedy miała dziewiętnaście lat, opuściła dom i pojechała do Paryża. Wiem od mojej ciotki Heleny, jej starszej siostry, że wyjazd ten miał dać do zrozumienia mojej babce, że ma dość przysłowiowego trzymania pod kloszem. Babcia nie pozwalała jej pozostawać poza domem po dziesiątej i spotykać się z kolegami. Powodem takiej opieki było jej słabe serce, upór oraz wielka uroda mojej matki. Mama musiała być zauroczona Paryżem, bo nie chciała wracać do domu. Moja babka próbowała wszystkiego, przestała wysyłać pieniądze, ale ona nie ustępowała. Ciotce Helenie przysłała życzenia z okazji ślubu, jednak nigdy do Anglii nie wróciła. - Przerwała i spojrzała na Filipa. - Nie potrafię tego zrozumieć! To straszne... tak odciąć się od własnej rodziny, nawet jeśli babcia była takim tyranem...

- Być może jest to konieczne.... Czasami - powiedział cicho de Beauclair. - A pani dziadek? Czy też był taki surowy?

- Nie żył - odpowiedziała Jo. - Zginął przed samym końcem wojny, kiedy moja matka była bardzo mała. Może dlatego babcia była taka sroga. Nie było jej łatwo wychowywać dwie córki, zwłaszcza gdy jedna z nich często chorowała.

- Być może. Proszę, niech pani mówi dalej.

- Pewnego dnia ciotka Helena otrzymała list, w którym moja matka pisała, że spotkała mężczyznę swego życia. Nazywała go Jo-Jo. Głupie imię, ale przypuszczam, że imiona nie mają znaczenia, gdy się jest zakochanym. Nigdy nie zdradziła jego prawdziwego imienia, ponieważ zawsze była przesadnie

tajemnicza, jednak tak naprawdę to nie chciała, aby babcia ją odnalazła. Tak czy inaczej, ciotka Helena nie dostawała żadnych wiadomości, do czasu, aż pewien paryski szpital zatelefonował, że moja matka właśnie urodziła córeczkę, ale sama jest w krytycznym stanie. Prosil, aby ciotka przyjechała.

- Przypuszczam, że ciotka pani przyjechała do Paryża.

- Oczywiście. Kiedy zmarła moja matka, miałam jeden dzień. Zupełnie nie dbała o swoje serce, którego stan pogarszał się z dnia na dzień, i przy tym moje narodziny były dla niej zbyt wyczerpujące.

- Tak mi przykro.

- To smutne wydarzenie - prosto podsumowała Jo - i wiem, że moja ciotka była zdruzgotana. Mama była taka... bardzo żywotna.

- Więc ciotka panią wychowała?

- Ciotka Helena i wuj Christopher są cudowni. Ich dom w Nottingham jest również moim domem. Nigdy nie udawali, że są dla mnie kimś więcej niż ciotką i wujem, ale traktowali mnie jak córkę i dali mi swoje nazwisko. Ich syn Richard i ja byliśmy zawsze jak brat i siostra. Tylko babcia Pearce pozostała nadal bardzo trudną osobą!

Filip uśmiechnął się.

- Szczęśliwe zakończenie smutnej historii.

- Nie! - zaprotestowała szybko Jo. - Historia ta nie zakończy się, dopóki nie odnajdę mego ojca. Zanim zmarła moja matka, powiedziała: „Kiedy Jo-Jo wróci, powiedz mu, że ma córkę, on się nią zaopiekuje.” W szpitalu myśleli, że moja ciotka wie, o kogo chodzi. Przyjaciele mojej matki, a miała ich niewielu, także nie znali Jo-Jo. Ciotka i wuj doznali zawodu także w British Council, gdzie moja matka pracowała przez jakiś czas. Teraz wszystko zależy ode mnie.

- Więc przyjechała pani do Francji specjalnie po to, aby odszukać Francuza o przezwisku Jo-Jo? Proszę mi wybaczyć, ale pani musi być szalona! To jest tak jak... szukanie igły w stogu siana! Wymieniła pani Chateau des Fleurs, dlaczego?

- Proszę to przeczytać. - Jo podała mu pocztówkę. - Była w rzeczach mojej matki, które ciotka Helena przywiozła do domu.

- To Honfleur, znam je dobrze - Filip rzucił okiem na kolorowy widoczek ładnego małego portu. Odwrócił pocztówkę i lekko marszcząc brwi, odczytał na głos: „Na pamiątkę Jo-Jo, łodzi i cudownego Chateau des Fleurs - Zamku Kwiatów”.

Przez dłuższy czas słyhać było tylko ciągle tykanie zegara z wahadłem, wiszącego obok kredensu. Jo obserwowała twarz mężczyzny. Wydawało się, że targają nim sprzeczne, niezrozumiałe emocje.

- Czy teraz pan rozumie, dlaczego musiałam tu przyjechać, do Chateau des Fleurs? Dlaczego... naciągnęłam niektóre dane w moim podaniu?

- Naciągnęłam?

- Skłamałam, jak pan woli. Moja matka musiała tu być razem z nim, z moim ojcem.

- Rozumiem bardzo dobrze - odpowiedział wstając. - Ale już czas, abyśmy poszli spać.

Jo z trudnością stłumiła rozbawienie, wywołane jego angielszczyzną, ale czekała na decyzję odnośnie jej pracy.

- Słyszałem głos matki - powiedział, podchodząc do drzwi. - Pani pokój jest już pewnie gotowy.

Jo spojrzała na niego ze strachem.

- Ale... ale proszę, niech pan mi powie, czy pozwoli mi pan tu zostać?

- Nigdy nie podejmuję nie przemyślanych decyzji, szczególnie kiedy jestem zmęczony. Powiem pani rano. Niech pani nie zapomina, że mogą być inne zamki o tej samej nazwie.

- Ale żaden niedaleko Honfleur, prawda?

- Rzeczywiście, Joanno. Teraz rozumiem, dlaczego ciotka nadała pani to imię. Proszę tędy, wezmę pani bagaż.

- Na razie umieściłam panią w pokoju Luizy - tłumaczyła pani de Beauclaire, prowadząc przez półpiętro, do którego wiodły otwarte podwójne drzwi. - Ona studiuje medycynę w Paryżu, a część swoich wakacji spędza u nas. Jej rodzina sąsiadowała z nami, teraz mieszkają w Marsylii.

Pokój był zielono-złoty, uzupełniony czerwienią różanych pączków na zasłonach i kołdrze. „Bardzo kobiecy i nowoczesny” - pomyślała zadowolona Jo. Zaskoczyła ją jedynie kolekcja odzieży w szafie: kilka szarych spódnic i czarna sukienka, tylko jedna jasnoniebieska bluzka. Nie było żadnych spodni ani pulowerów; niczego, co wskazywałoby, że właścicielka jest młoda.

Może to były stroje madame? Chyba nie. Matka Filipa ubierała się elegancko i naturalnie, te ubiory zupełnie do niej nie pasowały.

Jo dalej oglądała pokój, szukając śladów po jego mieszkance i zatrzymała wzrok na półce z książkami. Stały tam same poważne dzieła, medyczne albo filozoficzne - za wyjątkiem jednego dreszczowca, który wyróżniał się w rzędzie.

Wkrótce zmęczenie i przeżycia całego dnia dały znać o sobie. Położyła się do łóżka, nie przestając myśleć o młodej właścicielce pokoju, dopóki nie zapadła w sen.

## **ROZDZIAŁ 2**

Następnego ranka po nocnym deszczu cała okolica tchnęła świeżością i czystością. Jo stała w oknie sypialni, podziwiając krajobraz. Zamek był położony w szerokiej płytkiej dolinie, w części pokrytej lasami. W prawej części znajdowała się okrągła przysadzista wieża ze stożkowatym dachem, zbudowana z jasnego kamienia i przystrojona szachownicą z terakoty. Po obu stronach głównego wejścia stały dwie wieżyczki z jasnoszarego kamienia. Płatanina pnączy sięgała do parapetu okna, a cały ogród porośnięty był krzewami i drzewami. Nie było grządek kwiatowych, jedynie kępy żonkili rozjaśniały kilka zapuszczonych klombów.

Pukanie do drzwi przerwało jej obserwację. Jakaś starsza kobieta, pewnie gospodyni Teresa, podała tacę ze śniadaniem.

- Pan Filip chce panią widzieć o jedenastej w biurze campingu - powiedziała krótko.

Jo uśmiechnęła się i podziękowała kobiecie, która wycofała się, nie mówiąc ani słowa. Najwyraźniej nie była tu mile widziana. W czasie, gdy jadła grzankę i piła herbatę, rozważała swoje szanse. Nie wyglądały najlepiej - była za młoda, niedoświadczona i w dodatku ich okłamała. To niezbyt pomocna rekomendacja na odpowiedzialne stanowisko szefa restauracji.

Najważniejsze było to, że wreszcie znalazła się we Francji. Kiedy spotkają się o jedenastej, uczyni wszystko, aby przekonać go, że Joanna Carlton jest w stanie sprostać obowiązkom.

Gospodyni wymamrotała skąpe podziękowanie, kiedy Jo odniosła tacę do kuchni. Udobruchała się nieco, gdy Jo wyraziła zachwyt nad zamkiem. Właśnie zamierzała zapytać o drogę do biura, kiedy otworzyły się drzwi prowadzące na podwórze i do kuchni wbiegł zadyszany mały chłopiec w wieku dziewięciu, dziesięciu lat.



- Pani Valbert, czy widziała pani Jacquesa? Chcę, żeby mnie odwiózł do szkoły. Uczymy się dzisiaj o Kasjopei i nie mogę tego stracić!

Kobieta uniosła wzrok i rozłożyła ręce.

- Pierre, ja muszę pracować. To twoja wina, że znowu przegapiłeś autobus. Czy ojciec nie może cię odwieźć?

- Nie, bo jest bardzo zajęty w biurze. Razem z panem Filipem rozmawiają z Anglią przez telefon i... - chłopiec dostrzegł Jo.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Nie bądź zuchwały - upomniała go Teresa Valbert.

- Jestem Jo Carlton z Anglii - powiedziała szybko. - Myślę, że oni w biurze są zajęci z mojego powodu, ponieważ przyjechałam niespodziewanie. Może ja odwiozę cię do szkoły?

Uświadomiła sobie, że dobrze byłoby spędzić dwie godziny dzielące ją od spotkania z Filipem de Beauclaire'em na rozmowie z miejscowym przewodnikiem.

Chłopiec spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Zrobi to pani? - zapiszczał. - Och, dziękuję!

Zanim dojechali do bramy z kutego żelaza przy końcu podjazdu, Jo wiedziała już, że Pierre ma dziesięć lat i pasjonuje się astronomią. Mieszka w domu obok zamku razem z ojcem, który pomaga prowadzić camping. Nie wspominał o matce.

Fachowo pilotując ją do miasteczka, położonego w odległości około dwunastu kilometrów od zamku, Pierre bez przerwy mówił, zwalniając jedynie w momentach, kiedy Jo skarżyła się, że nie może go zrozumieć. To on poruszył nieoczekiwanie sprawę Luizy. Było to w chwili, gdy Jo zaśmiewała się z czegoś, co powiedział. Poczwała wtedy, że chłopiec się w nią wpatruje.

- Pani jest miła - powiedział z naciskiem. - Nie tak jak Luiza.

- Naprawdę?

- Jest taka nudna i nigdy się nie uśmiecha. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Filip chce się z nią ożenić.

Jo celowo przyhamowała, aby nic nie stracić z tej rozmowy.

- Pani Valbert mówi, że ona będzie lekarzem, ale nie wyjdzie za męża, dopóki nie zda wszystkich egzaminów.

- Przypuszczam, że to wystarczający powód - odpowiedziała Jo, zwalniając za traktorem.

- Pan Filip był już kiedyś żonaty... Niech pani skręci w prawo.

Słuchanie plotek na temat jej przyszłego pracodawcy nie było dobrym pomysłem. Wysadziła chłopca przy bramie szkoły i wróciła do zamku.

Za trzy jedenasta szła do campingu ścieżką od strony ogrodu. Szeroka alejka prowadziła do czegoś, co kiedyś było sadem. Obecnie był to teren pokryty jedynie trawą, urozmaicony gdzieś tam kilkoma drzewami owocowymi. W oddali stał zespół budynków, których centrum było zdominowane przez zbudowaną z desek wielką konstrukcję, w której mieściły się umywalnie i ubikacje. Z bijącym sercem zastukała do otwartych drzwi biura.

- Dzień dobry - Filip de Beauclaire skinął w jej kierunku. - Cieszę się, że jest pani tak punktualna.

- Tylko obowiązkowa. Odwiozłam małego Pierre'a do szkoły i nieco błądziłam wracając.

- Co pani zrobiła? - spytał jakiś głos.

Z sąsiedniego gabinetu wyszedł mężczyzna, który prawdopodobnie był ojcem chłopca.

- Joanna Carlton... Marcel Devereux, kierownik campingu - Filip przedstawił ich pośpiesznie.

- Co to za sprawa z Pierre'em?

- Nie chciał stracić lekcji o Kasjopei - wyjaśniła. - Miałam trochę wolnego czasu, więc go zawiozłam, bo nie zanosilo się na to, aby ktoś inny mógł to zrobić.

- Jestem pani bardzo wdzięczny. Obawiam się, że to spóźnianie się na autobus weszło mu w krew. - Marcel uśmiechnął się do niej.

W tonie jego głosu brzmiała rezygnacja i nie było trudno domyślić się, jak bardzo odbiegał od wizerunku szczęśliwego mężczyzny.

- Proszę, niech pani usiądzie - Filip wskazał krzesło przed biurkiem. - Telefonowałem do pani dwóch poprzednich pracodawców i drogo mnie to kosztowało. Zrobiłem to, ponieważ prowadzę interes i muszę być pewny, że zatrudniam najlepszych. Pani potrafi gotować i z tego się cieszę, ale prowadzenie restauracji to zupełnie inna sprawa. Niestety, czas nie gra na moją korzyść. Z powodu tych waszych długich brytyjskich wakacji, jakie macie wiosną, trzeba będzie otworzyć restaurację za dwa tygodnie. - Patrzył na Jo, jakby majowe ferie były jej winą. - Nie mam wyboru i muszę, choć czynię to niechętnie, zgodzić się, żeby pani została... na jakiś czas.

- Dziękuję panu! - Joannie spadł kamień z serca.

- Niech pani się tak nie cieszy - powiedział z błyskiem w oku. - Będzie pani przyjęta na okres próbny i jeśli on nie wypadnie dobrze, będzie pani musiała odejść.

- Tak jest - odpowiedziała przepełniona radością.

Marcel Devereux miał wątpliwości: - Filipie, jesteś naiwny. Pani sobie nie poradzi.

- Może i jestem. Zobaczymy, co pani nam pokaże w ciągu tych dwóch tygodni. Okaże się wówczas, co pani potrafi. Kiedy otworzymy, dostanie pani kogoś do pomocy, ale do tego czasu będzie pani sama. Przejmie pani od Teresy Valbert i od mojej matki część prac w kuchni na zamku. Wiele lat minęło od czasu naszych wspaniałych zabaw w wielkim stylu, więc w najbliższy weekend wydamy przyjęcie z obiadem, a w następny przyjęcie z zimnym bufetem. Wszystko pani przygotuje. Czy wie już pani, o co chodzi?

- Życzę powodzenia - powiedział Marcel, kiedy opuszczał biuro. Jo nie była pewna, czy skierował te słowa do niej, czy do pracodawcy.

Z trudem przełknęła ślinę.

- A kiedy będę miała czas wolny? W kontrakcie jest napisane, że będę miała wolne półtora dnia w tygodniu.

- Pani nie była w porządku w stosunku do nas, podając fałszywe informacje, dlatego też, dopóki restauracja campingu nie zostanie otwarta, my również nie będziemy dotrzymywać warunków.

- A co na to przepisy prawa pracy? - odparowała.

- Ciągle jeszcze mogę panią odesłać... - powiedział z podstępą łagodnością.

Już miała powiedzieć, że to byłaby głupota, ale ugryzła się w język. Wpatrywali się w siebie nad biurkiem, aż Jo powiedziała ze śmiechem:

- Wygrał pan pierwszą rundę, Filipie de Beauclair!

- Być może - uśmiechnął się krzywo. - Jednak nam nadzieję, że nie spędzimy całego lata drażniąc się nawzajem! Teraz, Joanno, zanim pokażę pani cały camping, proszę mi coś obiecać. Wiem, po co głównie pani tu przyjechała, ale na razie proszę nie wspominać o tym ani mojej matce, ani Marcelowi czy komukolwiek.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, nie chcę, aby pracownicy campingu przekształcili się w armię detektywów amatorów. Nie ulega wątpliwości, że dla nich byłaby to romantyczna przygoda, ale ja muszę przecież kierować campingiem, a nie agencją detektywistyczną. Natomiast rzeczywisty powód, ten najważniejszy... - przerwał i spojrzał na nią z miną, do której zaczęła się już przyzwyczajać. - Mój dziadek, ojciec mojej matki, zniknął podczas wojny. Przez całe lata rodzina starała się dowiedzieć, co się z nim stało, odszukać go, ale nie odnaleziono żadnego śladu. Przypuszczalnie zmarł w niewoli. Nie sądzę, żeby moja matka chciała przypominać sobie tamte dni, bez względu na to, jak odmiennie mogą potoczyć się poszukiwania ojca.

Jo skinęła głową ze zrozumieniem. Rzeczywiście, nic by nie dało rozdrapywanie starych ran przez poruszanie tak drażliwego tematu.

- A teraz, co pani powie na wycieczkę z przewodnikiem? - zasugerował Filip.

Oprowadził ją po całym campingu, objaśniając zagospodarowanie terenu. Widać było, że wydano mnóstwo pieniędzy na luksusy, nie kojarzące się raczej z campingiem. Blok sanitarny posiadał nowoczesną armaturę i urządzenia elektryczne, mogące zadowolić najbardziej wybrednych turystów.

- I pan to nazywa campingiem? - zapytała, wskazując na rząd zlewów z gorącą wodą. Wypadki nad jeziora z Richardem i jego przyjaciółmi przypominały jej coś innego.

- Może nie całkiem - przyznał Filip - ale ludzie coraz częściej spędzają wakacje w takich miejscach. Mamy basen z podgrzewaną wodą w byłym ogrodzie różanym i można też wynajmować kort tenisowy. Campingi we Francji to teraz duży biznes, a ja zamierzam odnieść na tym polu sukces. Chcąc utrzymać się w interesie, musimy jeszcze postarać się o odrestaurowanie ogrodu.

Jo milczała przez chwilę. Filip zdradził uczucia, jakie żywił wobec tego miejsca. Chateau des Fleurs znaczy dla niego wiele.

- Bar jest tam... - wskazał w kierunku nowo wybudowanego przedłużenia jednej ze stodół - ... a tutaj jest pani restauracja.

Stali ramię w ramię w wejściu do budynku, w którym kiedyś musiał mieszkać gospodarz z rodziną. Jo ujrzała drewniane stoły i krzesła, na ścianach widniały ryciny przedstawiające zwierzęta.

Kuchnia była wyposażona w nowoczesne, szybkie i wydajne urządzenia, będzie więc mogła pracować bez wysiłku. Kiedy zobaczyła magazyny, straciła pewność siebie. Na półkach stały rzędy pojemników, lecz okazało się, że są puste, nie było nawet szczypty soli. Lodówki były również puste.

Zaskoczona odwróciła się do Filipa.

- A gdzie są zapasy?

- To już pani sprawa - powiedział po prostu. - Zamówi pani wszystko, co potrzeba. Musi się też pani rozeznać, gdzie to można dostać. Marcel zrobił projekt budżetu. Radzę, żeby pani z nim porozmawiała.

- Ale co z zakupami hurtowymi? Dokąd mam się udać?

Poczuła się całkowicie zagubiona. Filip rzucił jej wyzwanie i najwyraźniej nie miał zamiaru udzielić jej jakiegokolwiek pomocy ze swej strony. W jaki sposób ma zapewnić powodzenie restauracji, skoro jest pozostawiona samej sobie? Fakt, że sama tego chciała, Filip myśli tak samo.

- Doświadczony mistrz kucharski nie miałby z tym żadnych problemów - powiedział tonem sugerującym koniec rozmowy. - Teraz muszę już iść, a pani się jakoś urządzi. Na górze mamy małe mieszkanie, które może pani zająć.

Otworzył drzwi w przejściu pomiędzy kuchnią a magazynem. Zalało ich ciepłe kwietniowe słońce, które rozjaśniło stanowcze rysy jego twarzy i błysnęło czerwienią w jego włosach.

- Niech pani nie zapomni o sobotnim przyjęciu z obiadem. Pójdę teraz do matki, żeby jej o tym powiedzieć.

Kiedy Jo została sama, stanęła pośrodku kuchni. Wyglądało na to, jakby nie chciał, żeby się jej udało. Pozostawił ją bez zapasów, a ona nie miała pojęcia, gdzie je uzupełnić i do tego jeszcze musiała przygotować przyjęcie w ciągu trzech dni.

Potem Jo postanowiła obejrzeć mieszkanie na górze. Były tam dwa małe wygodne pokoje i nowoczesna łazienka na poddaszu. Z jednego pokoju rozciągał się widok na pola i leżący za nimi gęsty las. W pobliżu pasły się cętkowane normandzkie krowy, domowy pies biegł susami drogą okalającą budynki. Atmosfera tchnęła prawdziwym spokojem, a mimo to Jo czuła się podenerwowana. Poszukiwania ojca muszą zostać na razie przerwane. Teraz najważniejszy dla niej był sukces na nowym miejscu.

Po pierwsze musi skonsultować się z Marcelem Devereux. Kiedy usiadła naprzeciwko niego w biurze campingu, taksował ją wzrokiem, ale nie wyczuła w jego spojrzeniu zaczepności. Znał dobrze angielski, ale Jo wolą rozmawiać po francusku, ponieważ mając w perspektywie interesy z miejscowymi handlowcami, chciała zdobyć jak najwięcej doświadczenia. W trakcie dyskusji o szczegółach budżetu Jo wypytywała Marcela o hurtowe zakupy i o tygodniowe dostawy świeżej żywności.

- Myślałem, że Filip już to ci powiedział - rzekł zaskoczony. - On już to uzgodnił z właścicielem oberży w wiosce, jacy dostawcy wchodzi w grę.

- Mam wrażenie, że on stara się utrudnić mi pracę, ale nie mam pojęcia dlaczego.

Marcel uniósł brwi.

- To dziwne, bo przecież bardzo zależy mi na tym, aby restauracja odniosła sukces. Mieliśmy mały bar, ale Filip był zdania, iż dobrze prowadzona restauracja, w której będzie można zjeść urozmaicony obiad, przyciągnie również gości spoza campingu. Myślę, że nie należy go oskarżać o mało przyjazne powitanie. Ja również uważam, że jesteś o wiele za młoda do tak odpowiedzialnej pracy.

- Niech pan nie wspomina o moim wieku! Jeśli inni będą ze mną współpracować, poradzę sobie - odpowiedziała gwałtownie.

- Francine, matka Filipa i ja będziemy z pewnością ci pomagać - rzekł Marcel z uśmiechem, który momentalnie odmienił jego poważną zwykle twarz.

- Francine może nie należy do najlepszych organizatorów, ale ma złote serce. Prowadziła ze mną camping przez pierwsze trzy lata, lecz teraz „monsieur” postanowił sam kierować interesem.

- Masz na myśli Filipa?

- Oczywiście. - Marcel wyglądał na zaskoczonego. - Jego ojciec zmarł dziewięć lat temu. Przedtem Filip pomagał nam, jak tylko mógł, ale w tym roku



postanowił zrobić kilkumiesięczną przerwę w swej karierze prawniczej. On i matka bardzo chcą przywrócić zamek do poprzedniej świetności.

- Chateau des Fleurs - cicho powiedziała Jo. - Czy kiedyś było tu rzeczywiście mnóstwo kwiatów?

- Nigdy ich nie widziałem, ale wierzę, że tak, bo tutejsze ogrody były wspaniałe i sławne w całej Francji. De Beauclaire'owie nigdy nie otwierali ich dla szerokiej publiczności, jednak nie brakowało tu odwiedzających.

Zainteresowanie Jo wyraźnie wzrosło.

- Kiedy to było, Marcelu? Dziesięć, dwadzieścia lat temu?

Starła się, aby zabrzmiało to jak zwykle, banalne pytanie, ale głos zdradzał, że chodzi o coś więcej. Marcel uważnie popatrzył na nią przez chwilę, następnie zebrał papiery leżące przed nim na biurku.

- Jeśli rzeczywiście chcesz poznać historię tego miejsca, to radzę ci, abyś porozmawiała z panią Valbert albo jeszcze lepiej, zapytaj samą Francine.

Rozmowa z Francine de Beauclaire okazała się dużo trudniejsza, niż to sobie wyobrażała. Spotkała ją na półpiętrze, z odkurzaczem i ścierkami, z włosami dokładnie osłoniętymi białą bawełnianą chustką. Jo odniosła wrażenie, że powinna raczej przyjmować porannych interesantów, niż sprzątać pokoje.

Zawiadomiła Jo o przyjeździe Luizy na weekend.

- Będzie pani musiała przeprowadzić się do innego pokoju. Mój syn nie jest ze mnie zadowolony z powodu zaangażowania pani, chociaż ciągle mu przypominam o moim przeświadczeniu, że jest pani mężczyzną! Ale cieszę się, że mamy panią, bo w takich sprawach na kobietach można bardziej polegać!

- Czy Luiza przyjeżdża tu często? - zapytała Jo od niechcienia.

- Nie tak często, jak byśmy chcieli. - Francuzka strzepnęła lnianą poszewkę. - Ona jest bardzo oddana pracy i zaniedbuje się z tego powodu. Filip ma ciągle nowe pomysły, jak by ją tutaj sprowadzić. Ostatnio zmienił wystrój jej pokoju! Jest bardzo surowo wychowana i trzeba będzie dużo czasu, żeby ją zmienić.

Dopiero kiedy wspólnie z Teresą Valbert jadły w kuchni lekki lunch, składający się z zimnego mięsa i dobrze wypieczonego chleba, Jo mogła poruszyć temat zamku i jego sławnych ogrodów.

- Trzydzieści lat temu było tu przepięknie! - wykrzyknęła Francine. - Zagony kwiatów przez całą wiosnę i lato, a wśród nich biegał Filip, będący utrapieniem ogrodników, zaś Henri, nasz drugi syn, urodził się wtedy w sierpniu.

- A dwadzieścia... dwadzieścia cztery albo pięć lat temu? - zapytała Jo.

- Ciągle bardzo pięknie - odpowiedziała tym razem pani Valbert, rzucając swej pracodawczyni zaniepokojone spojrzenie.

Wyraz bezgranicznego smutku zagościł na twarzy Francine.

- Tak, Tereso - powiedziała w końcu. - Wierzę, że tak było. Ale... ale wtedy wydatki zaczęły paraliżować mojego męża i dlatego teraz prowadzimy camping. Dziwne, nieprawdaż?

Jo poczuła się nieswojo. Żywa, rozmowna Francine nagle ucichła. Czy to była jej wina? Powiedziała, że ona tylko „wierzy” w piękno ogrodów dwadzieścia parę lat temu, co mogłoby znaczyć, że nie było jej wtedy na zamku.

Przygotowania do przyjęcia szybko przywróciły humor Francine. Nalegała, aby Jo mówiła do niej po imieniu.

Kiedy menu zostało uzgodnione, poszły na inspekcję pokoiw recepcyjnych. Jadalnia, wspaniała i cicha, z meblami z ciemnego dębu i ze lśniącymi srebrami okazała się być znakomitym miejscem dla popisu sztuki kulinarnej Jo, lecz salonik był nieodpowiedni na tę okazję. Francine otworzyła z rozmachem podwójne drzwi, prowadzące do długiego ocienionego salonu pełnego mebli, zabezpieczonych pokrowcami, z fortepianem stojącym w głębi. W powietrzu unosił się nieokreślony zapach minionego czasu.

- Teresa i ja z przyjemnością przywrócimy do życia ten pokój - powiedziała Francine, podchodząc do pierwszego z czterech dużych okien.

Odchyliły okiennice i pokój z miejsca nabrał życia dzięki promieniom wiosennego słońca. Ciepło załśnił wypastowany parkiet z deseniem w szachownicę i ożywiły się wypłowiałe barwy dywanu.

- Wspaniale znowu bawić się w dużym towarzystwie! - uśmiechnęła się do Jo. - Kiedy Filip to zaproponował, pomyślałam, że ma źle w głowie, przecież jest tak mało czasu. Teraz jednak jestem zadowolona.

Pochyliła się i delikatnie zdjęła pokrowiec z małego wypolerowanego stolika, na którym stało kilka fotografii w ramkach.

- Mój mąż, Claude - powiedziała Francine, wskazując na młodego mężczyznę na jachcie. - To zdjęcie zrobiono niedługo po naszym ślubie. A na tym jest nasza czwórka z Luizą. Tak wyglądaliśmy dziesięć lat temu.

Jo popatrzyła na grupę osób ustawionych u wejścia do zamku. Dużo młodszy Filip stał razem z dziewczyną, obok nich szczyrzył zęby kilkunastoletni chłopiec - starszy brat Filipa, Henri. Luiza miała ciemne włosy, szeroko rozstawione oczy i wysokie czoło. Była ładna.

- Luiza ma teraz dwadzieścia pięć lat - Francine przetarła ramkę rogiem fartucha. - Jest jedynaczką i pomimo starań Filipa ciągle brak jej pewności siebie. Jej rodzice nie należeli do najłatwiejszych sąsiadów. - Postawiła fotografię na stole i popatrzyła na Jo. - Czy twoi rodzice są zadowoleni z twego wyjazdu do Francji?

- Ja.. Ja nie mam rodziców. Ale ciocia i wujek są zachwyceni.

Dźwięk telefonu w hallu uratował ją przed opowiadaniem o przeszłości.

Następne kilka dni minęło w ferworze przygotowań. Francine zabrała Jo na zakupy do miasta, gdzie wspólnie wybrały mięso i warzywa. Dziewczyna odczuła wielką ulgę, gdy dowiedziała się, że Filip zrezygnował z urzędnika w następny weekend przyjęcia z zimnym bufetem.

- Zorganizowanie tego byłoby niemożliwe - powiedziała jego matka. - W następnym tygodniu będziesz zajęta zakupami do magazynu i przygotowaniem menu dla restauracji. Typowy mężczyzna! Mógłby być poważniejszy.

- On jest bardzo poważny - odpowiedziała słodko Jo. - Podejrzewam, że chce, abym się nie sprawdziła i zrezygnowała.

- Ależ to nonsens! - Francine roześmiała się. - On jest zadowolony, że w ogóle ma kogoś. Teraz wyjechał, bo musi rozwikłać jakiś prawniczy problem bratu w Lyonie. To jego ostatnia sprawa, zanim porzuci na kilka miesięcy karierę prawniczą. - Westchnęła i ciągnęła dalej: - Jest mi przykro z tego powodu, ale nie poradzilibyśmy sobie sami z Marcelem przez jeszcze jeden sezon. Nasi klienci ostatnio zbyt dużo wymagają.

W miarę jak zbliżał się weekend, Jo zauważyła, że Beauclaire'owie i kierownik campingu tworzą zgrany zespół. Czy będzie w stanie dobrze rozegrać swoją partię? Widywała Filipa tylko podczas posiłków, ale czasem zauważała, że patrzy na nią tak, jakby coś go martwiło.

Czy naprawdę był żonaty? Oprócz Pierre'a nikt o tym nie wspominał, a nie zawsze można polegać na małych chłopcach. Pierre na pewno się mylił, gdyż w salonie nie było śladu zdjęć weselnych.

## **ROZDZIAŁ 3**

Popis kulinarny Jo był pasmem sukcesów. Francine przystroїła hall i pokoje gošcinne wiosennymi kwiatami, blysk sreber i wypolerowanego drewna był nagrodą za jej wysiłki. Jacques, ogrodnik i majster do wszystkiego, został przeznaczony do roli głównego lokaja, którą odgrywał pewnie i z wyraźną przyjemnością. Teresa usługiwała przy stole, podczas gdy Jo, zdenerwowana jak nigdy przedtem, przygotowywała dania, subtelnie przybierając je przed podaniem na stół.

Kiedy wreszcie obiad dobiegł końca, usiadła wyczerpana, zostawiając Teresie podanie kawy.

Teresa zachowywała się już mniej oficjalnie, ale jeszcze nie swobodnie. Dziwnym wydawał się zupełny brak zazdrości z jej strony o obecność Jo w zamkowej kuchni.

- Gratulacje! Kucharka proszona jest do jadalni. - Jacques wszedł do kuchni z promiennym uśmiechem. Wyglądało na to, że od razu polubił Jo.

Jo odgarnęła rozwichrzone włosy.

- Ależ ja nie pasuję do tak eleganckiego towarzystwa! Niech pan na mnie spojrz.

- Oczywiście, że pani pasuje! Nieważne, że jest pani w spodniach, i tak zaćmi pani wszystkich.

- Co za głupstwa pan wygaduje! - roześmiała się. - Chyba jednak pójdę...

Niepewną ręką pchnęła wahadłowe drzwi, prowadzące do jadalni.

Zapadła cisza, dwanaście twarzy w różnym wieku skierowało się w jej stronę, ale ona widziała tylko jedną. Spojrzenia jej i Filipa skrzyżowały się. Triumf, jaki dojrzała w jego oczach, wywołał w niej sprzeczne uczucia: gniewu, że pewnie spodziewał się nieudolności z jej strony, i dumy, bo był wyraźnie zadowolony z jej sukcesu. Gorące oklaski ze strony gości dodały kolorów jej rozgrzanym policzkom.

- Joanno, wszystko było znakomite, naprawdę znakomite! - wykrzyknęła Francine, bardzo elegancka w czarnej szyfonowej sukni. - Kto by pomyślał o naleśnikach z wędzonym łososiem, a ten czekoladowy suflet był wyśmienity! Teraz przedstawię cię wszystkim.

Nie pozostało jej nic innego, jak obejść stół dookoła i wymienić uścisk dłoni z każdym z gości. Chuda, milcząca dziewczyna z prostymi czarnymi włosami, siedząca obok Filipa, to była Luiza. Przyjechała z Paryża po południu, kiedy Jo zajęta była w kuchni. Prosta biała bluza i długa czarna spódnica nie pasowały do bladej, ziemistej cery, ale miły uśmiech rozjaśnił jej rysy, kiedy gratulowała Jo.

Duże wrażenie wywarł na niej miejscowy ksiądz, z żywymi, bystrymi oczami i doktor z żoną, oboje w średnim wieku, mile wspominający pobyt w Anglii.

- Musisz dołączyć do nas na kawę, Joanno - nalegała Francine, będąca wyraźnie w swoim żywiole.

- Niestety, nie mogę... Muszę pomóc Teresie.

- Możesz to zrobić jutro!

- Jutro jest niedziela, Francine - delikatnie upomniał ją duchowny.

- Wiem, Albercie, jednakże praca musi być wykonana!

Ksiądz najwyraźniej miał ochotę zaprotestować, ale uznał, że lepiej tego nie robić. Joanna uchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Dziękuję, Francine - powiedziała - lecz mój strój nie jest odpowiedni na tę okazję.

- Wygląda pani bardzo elegancko, Jo. - Filip z uśmiechem uniósł kieliszek w jej stronę.

Jo wykonała drobny ukłon, świadoma przyjemności, jakie sprawiły jej te słowa.

- Zostań! Musisz posłuchać, jak śpiewam - mówiła Francine. - Josephie, czy możesz mi akompaniować? - dodała zwracając się do doktora.

Joseph... Jo-Jo? To szaleństwo wyciągać takie wnioski za każdym razem, gdy usłyszysz imię Joseph. Mimo tego Jo z uwagą obserwowała doktora, siadającego przy fortepianie. Był w odpowiednim wieku... W tym momencie napotkała wzrok Filipa. Ogarnęło ją niesamowite uczucie, że rozszyfrował jej myśli.

Przed ślubem Francine była śpiewaczką operową. Głos jej był ciągle jeszcze silny i czysty. Towarzystwo wysłuchało z przyjemnością kilku pieśni Schuberta i Mozarta. Krótki recital zakończył się wiązką ludowych piosenek francuskich. Zanim umilkły oklaski, Jo wymknęła się do kuchni, przepraszając Teresę i Jacquesa, zajętych sprzątaniem.

- Ja skończę, proszę, idźcie już - nalegała.

Nie kryjąc ulgi, zostawili ją samą.

Ostrożnie umyła każdy kieliszek, a następnie starannie sprzątnęła całą kuchnię. Uważała bowiem, że obojętnie jak późno skończy się przyjęcie, kuchnia musi być pozostawiona w takim stanie, jakby w ogóle nie była używana. Właśnie stawiała na tacy stopką do góry ostatni z kieliszków, aby Teresa mogła je rano schować, kiedy w drzwiach pojawił się Filip.

- Ciągłe pracujemy, Joanno?

- Już kończę - powiedziała i odwiesiła ściereczkę na wieszak.

Wszedł do kuchni i popatrzył wokół z uznaniem. Poczula znajomą słabość na jego widok, zwłaszcza że w smokingu i wytwornej koszuli wyglądał tego wieczoru niezwykle atrakcyjnie.

- Moje gratulacje z okazji wspaniałej uczy. Wiem już, jak pani gotuje oraz - wskazał na wysprzątaną kuchnię - nic nie mogę pani zarzucić w sprawach higieny. Jednak czy potrafi pani prowadzić restaurację?

Uśmiechnął się do niej w sposób, jaki świetnie już znała.

Ignorując jego pytanie, zadała własne:



- Dlaczego pan zawsze rozmawia ze mną po angielsku? Przecież nie potrzebuje pan żadnych ćwiczeń w tym języku.

- Rozmowa w języku mojej babki sprawia mi przyjemność. Jej małżeństwo z dziadkiem trwało pięć lat. Kiedy ona opuściła Francję, dziadek sam wychowywał mego ojca. Pozostali jednak najlepszymi przyjaciółmi i kilkakrotnie spędzałem u niej wakacje i mieszkałem z nią jeden rok, kiedy studiowałem na uniwersytecie w Cambridge. Nabrałem zupełnie angielskich manier, od czasu do czasu grywałem w krykieta - piękne wspomnienia! A pani, Jo - uśmiechnął się do niej - niech będzie mi wolno powiedzieć komplement - pani mówi bardzo dobrze po francusku.

Jo usadowiła się na kuchennym stole.

- Merci! Ciotka Helena nalegała, abym poznała ten język, w razie rozmowy z ojcem. Babcia chciała temu przeszkodzić! Na szczęście, mieliśmy sąsiadkę Francuzkę, żonę jednego z przyjaciół wuja. Każdego dnia po szkole chodziłam do niej na godzinę konwersacji. Oplaciło się, rozumiem nawet Jacquesa, a on mówi gwara.

Filip wysunął krzesło i usiadł.

- Czy pani rzeczywiście zamierza kontynuować poszukiwania ojca?

- Oczywiście, dlatego tu jestem.

- A ta pocztówka jest pani jedynym punktem zaczepienia?

- Oprócz niej mam też adres w Paryżu, gdzie kiedyś mieszkała moja matka. Kiedy po jej śmierci poszła tam ciotka, dowiedziała się, że matka wypro- wadziła się kilka miesięcy wcześniej i nikt nie wiedział dokąd. Ten trop jest chyba fałszywy.

Po chwili ciszy Filip zaczął bębnić palcami po stole, nerwowo o czymś rozmyślając. Kiedy znowu na nią spojrzął, był zdecydowany.

- Czy dałaby mi pani ten adres? - zapytał.

Zupełnie zaskoczył ją tym pytaniem, bo dotychczas dawał jej jasno do zrozumienia, że nie ma najmniejszego zamiaru mieszać się do tej sprawy.

- Czy to ma oznaczać pana pomoc?

- Podejrzewam - przyznał otwarcie - że tak czy owak dołoży pani wszelkich starań, aby go odnaleźć, bez względu na to, co powiem, i nie mogę tego pani mieć za złe. Ale nalegam, aby nie mieszała pani mojej matki do tej sprawy... Ja natomiast zrobię, co będę mógł.

Jej oczy rozbłysły z podniecenia.

- Och, Filipie! - wykrzyknęła, podciągając nogi i obejmując kolana. - Czy mówi pan serio?

- To jest propozycja wyłącznie z pobudek egoistycznych. Jeśli dołączę do pani poszukiwań, będę mógł je kontrolować, to przecież jasne. Nie wiadomo, co z tego wyjdzie. - Poglaskał ją palcem po policzku. - Dwadzieścia cztery lata to szmat czasu. A teraz... - popatrzył na zegarek.

- ... czas, abyśmy poszli do łóżka! - podchwyciła Jo.

- Uważaj, co mówisz, Joanno! Chichotała, ciągle jeszcze obejmując kolana.

- Przecież to są pana słowa z wieczoru, kiedy przyjechałam. Myślałam wówczas, że jest pan bardzo szybki albo niezbyt pewny w angielskim.

- Moja znajomość gramatyki angielskiej jest bez zarzutu - powiedział z powagą, ale pojawiające się koło oczu zmarszczki zdradzały jego rozbawienie.

- Byłabym bardzo rozczarowana, gdyby było inaczej! - Posłała mu figlarny uśmiech.

- Niech mnie pani nie prowokuje, Jo. Może pani tego żałować.

- Wręcz przeciwnie!

Zeskoczyła ze stołu, a wtedy Filip chwycił ją za rękę i przez kilka sekund stali w bezruchu, dopóki nie zaczął jej całować. Jo chciałaby, aby to trwało bez końca, ale on delikatnie ją odsunął.

- Prosiła pani o to - powiedział spokojnie.

- Czyżby? - wykrzyknęła, starając się nie zdradzić swych uczuć. - Skąd pan wie?

Następnego ranka obudził ją plusk deszczu. Jej nowy pokój położony był po wschodniej stronie zamku. Okno wychodziło na podjazd prowadzący do pomieszczeń kuchennych. Kiedy wstała, aby zamknąć okno, zobaczyła dwie postacie skulone pod jedną parasolką. Zeszła na dół, gdzie Teresa i Luiza strząsały deszczowce. Właśnie wracały z kościoła.

- Szłyście całą drogę z wioski piechotą? - zapytała z przerażeniem Jo.

- Filip podwiózł nas, zaś Jacques z żoną wysadzili nas przy bramie, kiedy wracali do domu - powiedziała Teresa.

Wzmianka o Filipie wywołała rumieniec. Jego pocałunek poruszył ją i stał się przeżyciem, którego nie chciała tak szybko zapomnieć.

- Czy on był z wami na mszy? - zapytała, odwracając się po szeptem.

- Pojechał na jedną ze swoich farm - odpowiedziała Luiza, czesząc czarne włosy i spinając je do tyłu dwoma prostymi kłami - bo zaszła obawa powodzi na polach. - Spojrzała na Jo, lekko marszcząc brwi. - Był dzisiaj zmęczony. Powiedział, że nie spał dobrze.

- Prawdopodobnie niestrawność po obfitym jedzeniu! - zażartowała Jo, starając się zachować obojętność.

- Nie, to coś poważnego. Coś go dręczy. - Luiza usiadła przy stole. - Co o tym myślisz, Tereso?

- Myślę, że to pan Devereux powinien pojechać obejrzeć zalane pola, a nie pan Filip. Takie jest moje zdanie. Teraz idę zanieść śniadanie madame do jej pokoju.

Kiedy Teresa opuściła kuchnię, Jo przysiadła się do Luizy. Dziewczyny po raz pierwszy zostały razem same i Jo poczuła, że rozmowa będzie trochę wymuszona.

Luiza odpowiadała na każde pytanie monosylabami do chwili, gdy Jo poruszyła sprawę zamku i jego przeszłości. Opowieść o wyglądzie klombów z kwiatami kwitającymi od wiosny do jesieni zmieniła bladą twarz Luizy w kruchą

piękność i Jo zrozumiała, dlaczego Filip chce się z nią ożenić. Po chwili Teresa Valbert znowu przyłączyła się do nich, a Jo pytała coraz dociekliwiej.

- Czy dużo ludzi przyjeżdżało oglądać kwiaty de Beauclaire'ów?

Luiza odstawiła filiżankę.

- Nie przypominam sobie ludzi, tylko te piękne kolory - nie zapominaj, że mam dwadzieścia sześć lat. Teresa powinna wiedzieć więcej. - Luiza zwróciła się do niej. - Może przyjeżdżali ludzie z Anglii?

- Tak, byli też Anglicy - Teresa opowiadała z namysłem. - Powinnam wam powiedzieć, bo to przecież nie jest sekret, że przez pewien czas pani i pan żyli w separacji. Ona zabrała małych chłopców do swojej matki do Nicei, ale na wakacje przyjeżdżali do ojca. Wtedy opieka nad nimi należała do moich obowiązków. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - Tęsknili do matki, ale i do mnie się przywiązali.

- Zawsze cię kochali, zarówno Filip, jak i Henri. - Luiza wstając od stołu, dotknęła ramienia Teresy. - Potem Francine i Claude byli znowu razem. Ja pamiętam jedynie dobre czasy.

Teresa spojrzała w górę i westchnęła. - Żeby tylko Filip i ty... - przerwała, bo ktoś otwierał drzwi.

Serce podeszło Jo do gardła, ponieważ wszedł Filip. Zaczęła szybko sprzątać po śniadaniu.

- Nie tak szybko! - zawołał. - Jeszcze nic nie miałem w ustach, oprócz filiżanki herbaty o siódmej.

Na te słowa Luiza z Teresą zaczęły nakrywać do śniadania. Podały świeży chleb, naczynie z normandzkim masłem i słój z domowym dżemem truskawkowym. Jo patrzyła na nie, nie ruszając się z miejsca. W zachowaniu obu kobiet dało się zauważyć wielkie oddanie i to skłoniło Jo do zastanowienia się nad stosunkiem Filipa do Luizy.

- Może dasz mi filiżankę kawy, Jo? Będzie mi bardzo miło... - Żartobliwy ton Filipa spowodował, że roześmiała się głośno.

- Kawa będzie rozpuszczalna, bo nie będę zaparzała w ekspresie tylko jednej specjalnie dla pana.

- Niech pani nie zapomina, że jest na okresie próbnym, panno Carlton. Tym razem pani daruję, bo dobrze się pani wczoraj spisała. Jestem dzisiaj tak wspaniałomyślny, że nawet zamówiłem stolik w restauracji w mieście, abyśmy zjedli tam obiad.

- Ale potem zawieziesz mnie do Paryża? - zapytała Luiza, lekko marszcząc brwi. - Mam kilka ważnych lektur do przeczytania i muszę być wczesnym rankiem w szpitalu.

- Zgoda - przyrzekł Filip. - Tymczasem cieszymy się naszym towarzystwem, jak długo możemy.

Resztę poranka spędziła nad przygotowaniem listy zakupów. Teraz, kiedy przyjęcie już się odbyło, chciała skoncentrować się na hurtowych zamówieniach do restauracji, ale nie mogła się skupić. Myślała nie tyle o ojcu, co o możliwości zakochania się w Filipie.

O dwunastej trzydzieści Francine zawołała ją do czekającego samochodu. Jo myślała, że będzie ich tylko czworo, toteż widok Marcela Devereux i Pierre'a w restauracji zupełnie ją zaskoczył. Marcel z uznaniem spoglądał na jej ubranie: bluzkę w kolorze ostrego różu, ciemnoniebieskie wąskie spodnie oraz marynarkę, którą Jo uważała za najbardziej wyszukany element swego stroju. Odniosła jednak wrażenie, że Filip patrzy na nią tak, jakby marynarka nie pasowała do jej drobnej figury. Przy stole siedziała pomiędzy kierownikiem campingu a jego synem i chociaż rozmowa toczyła się na ogólne tematy, mogła stwierdzić, że ci dwaj obok byli mili dla niej.

Właśnie śmiała się z tego, co powiedział Pierre o urzędzeniu się na księżycu, gdy Marcel położył rękę na oparciu jej krzesła.

- Czy zjesz z nami kolację, Joanno? Pierre chce pokazać ci swoje książki o gwiazdach, a ja miałbym okazję do przedyskutowania spraw dotyczących restauracji.

- Nie będę w stanie zjeść nic więcej po tym wspaniałym posiłku! -  
odparła, zabierając się do kurczaka.

- Ale czy przyjdiesz? - nalegał Marcel. Joanna zauważyła, że Filip ich obserwuje.

- Dziękuję - powiedziała wyraźnie. - Chętnie przyjdę.

- Och, popatrzcie, kto tu jest! - Francine klasnęła w dłonie. - John i Cecile! Jak się macie, moi drodzy!

Jo była zadowolona z nowego ośrodka zainteresowania, ponieważ wyczuwała jakieś tarcie pomiędzy Filipem a Marcelem.

John i Cecile wyszli z niewidocznej części sali. Mężczyzna po pięćdziesiątce był odrobinę niższy od swej wysokiej i szczupłej żony. Rysy jego twarzy zdradzały anglosaksoński rodowód. Dochodząc do stołu, potknął się o matę, więc Francine śmiejąc się wyciągnęła rękę.

- Och, John, czyż naprawdę chcesz paść mi do stóp?

Kiedy ucichł śmiech, dokonała ogólnej prezentacji.

- John Headley pochodzi również z Anglii, Joanno. Pisze książki historyczne, jest bardzo mądry!

- Nie aż tak, Francine, ale to miło, że tak twierdzisz.

Mężczyzna uważnie popatrzył na Jo.

- Bardzo mi przykro, że wczorajszego wieczora nie mogliśmy podziwiać pani umiejętności kulinarnych. Byliśmy już umówieni. Filipie, czy przyjęcie udało się?

- W stu procentach - odparł. - Ale Jo musi jeszcze pokazać, co umie w restauracji. Musisz przyjść zaraz po otwarciu, bo zależy mi na twojej opinii.

- Niestety, jutro wyjeżdżamy do Stanów - Cecile Headley uśmiechnęła się do Jo.

Była gustownie ubrana, a siwe pasemka w uczesanych gładko ciemnych włosach dodawały jej atrakcyjności.

- Przyjdziemy zaraz po powrocie do domu w sierpniu - przyrzekła.

- W sierpniu będzie za późno - odpowiedział zniechęcony Filip, ale Francine zajęła się szybko swoimi przyjaciółmi.

- Zapomniałam, że wyjeżdżacie na tak długo. Czy to konieczne?

- Muszę zarabiać na życie, Francine - przypomniał jej John Headley. - Wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych jest aktualnym tematem mojej pracy i zbieranie do niej materiałów zajmie mi prawie całe lato. Jednakże może wyrwiemy się w lipcu do rodziny na wesele i wtedy spróbujemy odwiedzić restaurację. - Odwrócił się do Jo.

- Powodzenia, Joanno, widzę, że będzie go pani potrzebowała.

Kiedy wyszli Headleyowie, Francine westchnęła:

- Naprawdę szkoda, że nie będzie ich tutaj latem. Dobrze się czuję w ich towarzystwie, a ich stary wiejski dom jest wprost uroczy, Joanno. Skupia w sobie to, co najlepsze we francuskiej wsi. Filipie! Gdzie jest kelner? Zamawialiśmy przecież sery.

Po skończonym obiedzie i powrocie do zamku Jo poszła do restauracji kontynuować swoją pracę. Jej również było przykro z powodu wyjazdu Headleyów. Polubiła ich i instynktownie czuła, że mogłaby im powierzyć swoje problemy. Marcel był w porządku, ale czuła, że z nim musi postępować ostrożnie. Dzielenie się z nim każdym kłopotem i trudnością niekoniecznie zawodowej natury, mogłoby dać mu wiele do myślenia.

Tego wieczoru była zaproszona do jego domu, nie mogła zawieść Pierre'a, który przygotował specjalnie dla niej kolekcję modeli teleskopów i książki o astronomii. Ten entuzjizm dla ulubionego przedmiotu podobał się jej. Może dzisiejszego wieczoru dowie się czegoś o nieobecnej żonie i matce.

- Jo, jesteś wreszcie! - wołał ze szczytu schodów Pierre, gdy Marcel otworzył drzwi. Powstrzymał syna przed natychmiastowym porwaniem dziewczyny do swego pokoju i poprosił gościa do małej, trochę zabałaganionej bawialni, polecając chłopcu, by na razie pozostał u siebie, bo będą rozmawiać o restauracji.

- Przepraszamy - usprawiedliwiał się Marcel. - Nie jesteśmy najlepsi w pracach domowych.

Był to pretekst, jakiego potrzebowała.

- A matka Pierre'a... czy ona tu nie mieszka?

- Jeszcze nie wiesz? Marie-Claire, moja żona, porzuciła nas prawie rok temu. Odeszła z innym mężczyzną, dlatego Pierre tu pozostał.

- Przepraszam - cicho powiedziała Jo, zastanawiając się, co ma teraz robić.

Usunęła stertę starych czasopism z fotela i usiadła. Gospodarz wręczył jej szklanekę.

- Czy spróbuje pani calvadosu, tutejszej specjalności?

- Czy powinnam pić przed jedzeniem?

Wzruszył ramionami.

- Kilka łyków ci nie zaszkodzi. Może w ten sposób nasze sprawy gładko się potoczą.

Jo posłała mu nerwowy uśmiech i uniosła szklanekę. Napój był przyjemny, ale mocny i wypicie go w większej ilości nie było rozsądne.

Wieczór minął szybko i Jo stwierdziła, że bawiła się dobrze. Marcel przekazał jej wiele cennych informacji, nie tylko o przewidywanej ilości osób, mogących korzystać z restauracji, ale również o tym, jaki typ ludzi przyjeżdża na camping i jakie rodzaje posiłków mogą preferować. Pierre z dumą pokazał jej swoją kolekcję i prosił ją o ponowne odwiedziny. Był w złym humorze, kiedy zbierała się do wyjścia, a ojciec kazał mu iść do łóżka.

- Nie mógłbym odprowadzić jej razem z tobą? - prosił.

- Nigdy nie zdążysz na szkolny autobus, jeśli nie będziesz się wysypiał. Już jest późno! - surowo powiedział Marcel i wziął Jo pod ramię.

Wkraczanie między ojca i syna nie miało najmniejszego sensu, więc pożegnawszy się z chłopcem, pozwoliła Marcelowi odprowadzić się przez



ciemne ogrody w stronę zamku. Było jednak coś w wyglądzie Pierre'a, co bardzo ją poruszyło.

- Marcelu, Pierre wyglądał na przestraszonego, kiedy posłałeś go do łóżka. Dlaczego?

Mężczyzna zawahał się.

- On miewa czasami nocne koszmary. Zdarza się to od czasu, kiedy Marie nas zostawiła.

- Czy rozmawiałeś o tym z lekarzem?

W mroku nie mogła dostrzec jego twarzy, ale czuła, iż niechętnie udzielił odpowiedzi.

- Rozmawiałem z Josephem Guilbertem, który proponował wizytę u dziecięcego psychologa, ale ja nie chcę iść z tym dalej.

Jo milczała. Joseph Guilbert był tym, który poprzedniego dnia podczas przyjęcia w zamku grał tak pięknie na fortepianie. Marcel wyglądał na zagubionego; chciała mu pomóc, pomówi o tym z doktorem Guilbertem. Dzięki temu będzie miała okazję lepiej go poznać i wyjaśnić, czy ślad jest prawidłowy.

- Marcelu, jeśli martwisz się o Pierre'a, to dlaczego nie spróbować drugiego podejścia? Chętnie porozmawiam z doktorem, jeśli na to pozwolisz.

Jego szybka zgoda sprawiła, że Jo prawie pożałowała swojej oferty. Nagle przyciągnął ją mocno do siebie i zaczął całować. Szóstym zmysłem wyczuła, że najlepiej się nie sprzeciwiać. Marcel Devereux wypił zbyt dużo calvadosu, co wyraźnie go podnieciło.

Uwolniła się w końcu i dziękując za gościnę, wbiegła bocznym wejściem do zamku. Bezwiednie dotknęła ręką ust; brakowało tylko spotkania z Filipem. Nie zatrzymując się, wbiegła na tylne schody. Dopiero będąc bezpieczna w swoim pokoju, przypomniała sobie, że pojechał z Luizą do Paryża.

Filip był nieobecny przez trzy dni. Marcel przedstawił jej kobiety, które miały pomagać w restauracji. Colette miała czterdzieści parę lat, była mała, gruba i wciąż uśmiechnięta. Nadine była młodsza, mniej więcej w wieku Jo,

spokojna i cicha. Jej jasne, brązowe oczy patrzyły przyjaźnie i Jo była pewna, że razem stworzą dobry zespół.

Na campingu zachodziło coraz więcej zmian. Podjazd był ukończony, a mały sklep załadowany żywnością o przedłużonym okresie trwałości. Kiedy wrócił Filip, francuskie i brytyjskie firmy turystyczne zaczęły już ustawiać namioty na wydzierżawionych polach. Pewien angielski przedstawiciel takiego biura podróży, młody i bardzo rozmowny mężczyzna, przedstawił się Jo jako Dave.

- Mówię pani, właśnie miałem okazję spotkać się z samym de Beauclaire'em, o którym szef naszego oddziału w Londynie twierdzi, że słynie z uroku i inteligencji. Urok! Akurat! Przyjął mnie z kamienną i lodowatą twarzą. Na dodatek, dał najlepsze pole naszemu konkurentowi.

- Może jest zmęczony po wycieczce do Paryża - tłumaczyła Jo. - Wie pan, on jest naprawdę bardzo miły.

Dave mrugnął do niej:

- Rozumiem. Paryskie nocne życie może być bardzo wyczerpujące!

Nie mając ochoty na dalszą rozmowę, Jo uciekła od młodego plotkarza i zaczęła szukać Marcela. Miała umówione spotkanie z doktorem Guilbertem; byłoby dobrze dowiedzieć się przedtem paru faktów o chłopcu.

Weszła do biura campingu.

- Wygląda pani na wzburzoną, Jo - rzekł Filip, patrząc z pochmurną miną na list, który trzymał w ręku. - Dlaczego niektóre z tych firm tak długo zwlekają ze staraniem się o pola namiotowe? Powinni wiedzieć, że mamy tylko ograniczoną ilość.

Zachowywał się wobec niej dziwnie.

Może znalazł jakiś ślad na podstawie adresu, który mu przekazała? Bardzo chciała o to zapytać, ale najpierw musiała porozmawiać z Marcelem.

- Widzę, że jesteście zajęci, nie będę przeszkadzać - powiedziała z uśmiechem. - Marcelu, czy mogłabym zamienić z tobą kilka słów? Wybieram się do miasta i chciałabym poradzić się w pewnej sprawie.

Zrozumiał, o co chodzi, podniósł plik dokumentów.

- Idę do jednego z przedstawicieli, możemy porozmawiać po drodze.

Filip uniósł wzrok:

- Miło widzieć, że tak dobrze się wam współpracuje - zauważył od niechcienia, ale Jo wyczuła sarkazm w jego głosie.

Pół godziny później Jo pojechała do miasteczka, gdzie Pierre chodził do szkoły. Rynek tętnił życiem i Jo liczyła na nawiązanie kontaktów ze sklepikarzami. Jeśli ją polubią i będą chcieli zaopatrywać camping, to miała nadzieję ubijać interesy z najlepszymi. Dziś jednak miała co innego do załatwienia. Idąc według wskazówek Marcela, przeszła przez most nad rzeką, w której odbijało się późnowiosenne słońce i weszła w wąską ulicę, która wychodziła na mniejszy plac.

Dom doktora Guilberta stał na uboczu. Wyglądał solidnie i zasobnie. Przechodzący obok żandarm pozdrowił ją, kiedy otwierała wysoką bramę z kutego żelaza. Strzałki pokazały jej drogę do izby przyjęć, która mieściła się w niskim, nowoczesnym budynku w ogrodzie.

- Jak dobrze, że panią widzę! - rzekł doktor, gdy wchodziła do środka. - Wierzę, że wizyta pani nie oznacza choroby?

- Wprost przeciwnie! - roześmiała się - Nigdy nie czułam się lepiej! Mam nadzieję, że nie zabieram panu niepotrzebnie czasu, ale chodzi mi o Pierre'a Devereuxa.

Doktor Guilbert słuchał uważnie wszystkiego, co mu opowiedziała, zrobił kilka notatek i obiecał wpaść do wioski następnego dnia.

- Obawiam się, że wyjazd Marie Devereux spowodował wiele problemów. To również dotyczy Filipa.

Zaskoczona Jo spojrzała na niego.

- Co pan... - przerwała, uświadamiając sobie, że nie powinna dokończyć pytania.

Joseph Guilbert popatrzył na nią z uznaniem.

- Nie martw się, moja droga, to nie są poufne sekrety. Wszyscy znają tę sprawę. Marcel zawsze łatwo ulegał zazdrości, a kiedy Filip mieszkał w Paryżu i Marie zasięgała jego rady, najpierw jako prawnika, a potem jako pracodawcy męża, Marcel był przekonany, że zostali kochankami. To przeświadczenie w połączeniu z innymi nabrzmiałymi problemami doprowadziło do jej odejścia. Filip, nie tracąc cierpliwości, przez długi czas wyjaśniał mu całą prawdę. Smutne jest to, że zadra pozostała. - Westchnął i popatrzył na zegarek. - Jak zwykle w takich wypadkach, najbardziej cierpi dziecko... Jest już prawie pierwsza. Nie mam więcej pacjentów przed południem, zapraszam więc panią do domu. Żona ucieszy się, widząc panią znowu.

Jo zgodziła się chętnie. Przygotowała się do zadania mu kilku śmiałych pytań przed zakończeniem rozmowy, ale pomyślała, że będą one brzmiały zupełnie naturalnie w domu.

- Proszę, dołącz do nas, Joanno - powiedziała żona doktora, witając ją uśmiechem. - Mamy tylko ser i sałatę. Ponieważ mąż ostatnio bardzo mało jada, więc nie mam żadnej szansy na współzawodnictwo z tobą w kuchni.

Rozmowa z nimi nie sprawiała Jo najmniejszej trudności i wkrótce zaczęli wspominać swoje młode lata.

Guilbertowie mieli córkę, młodszą od niej o dwa lata, co wskazywało na to, że pobrali się rok po śmierci jej matki. Chociaż ojciec Filipa był trochę od nich starszy, to jednak zaprzyjaźnili się i często gościli w zamku. Najcenniejszą wskazówkę stanowił fakt, że doktor był zapalonym żeglarzem, trzymał jacht w Honfleur i wyruszał na morze, jeśli tylko pozwalał mu na to rozkład zajęć.

Jo pragnęła bardzo dowiedzieć się czegoś bliższego o nim samym, o jego imieniu czy zdrobnieniu. Milczała jednakże ze względu na żonę. W jakiś inny

sposób będzie musiała znaleźć okazję do pokazania mu fotografii matki. Wtedy zwróci uwagę na jego reakcję.

Podczas powrotnej drogi do zamku Jo upewniła się, że trop związany z doktorem Guilbertem jest fałszywy. Joseph Guilbert studiował medycynę w Lyonie, a nie w Paryżu. Jego jedyni angielscy przyjaciele mieszkali koło Yorku, a on z pewnością nie spotkał nikogo, kto pracował dla British Council. Gdy parkowała samochód obok campingowej restauracji, nie odczuwała już poprzedniego podniecenia i nawet pojawienie się Filipa z psem myśliwskim, nie przegnało jej smutku.

- Czy to pański pies? - spytała.

W brązowej koszuli w kratę i zielonej wiatrówce wyglądał na wiejskiego dżentelmena.

- Przebywa na jednej z farm. Nie byłoby wygodne trzymać psa w Paryżu, tu zawsze mogę go brać, kiedy jestem w domu. Cała liczna rodzina farmera tak bardzo go kocha, że nie mam serca zabrać go z powrotem do zamku.

- A tak przy okazji, Filipie... - powiedziała głosem, któremu starała się nadać pewne brzmienie - Czy miał pan szczęście z tym adresem?

W jego zachowaniu można było dostrzec cień wahania.

- Przykro mi, Jo. Tym razem nie zdążyłem. Ale nie zapomniałem o tej sprawie.

Ukryła rozczarowanie głaszcząc psa.

- Jak on się wabi?

- Nie uwierzysz, Fred.

- Ależ do angielskie imię! - wykrzyknęła. - Pospolite angielskie imię!

Jego twarz rozpogodziła się w uśmiechu.

- Ogrodnik mojej babki nazywał się Fred. To właśnie on opowiadał mi dużo o psach, gdy u niej mieszkałem. Ale teraz przejdźmy do interesów. Jak ci idzie? Marcel mówił mi, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- Czyżbyś nam nie ufał? - Starła się wycofać swoje impulsywne pytanie, przekształcając je w żart. - Myślałam, że nie ruszysz palcem, aby pomóc twej biednej, przepracowanej kucharce!

- Poczekaj do lata! - roześmiał się, wchodząc za nią do restauracji i pozostawiając Freda na zewnątrz. - Dopiero wówczas zobaczysz, co to znaczy ciężka praca.

- Dziękuję, Filipie. Zawsze wiedziałam, że pozwolisz mi zostać! - Uśmiechnęła się do niego żartobliwie. - Kawy?

- Zarozumiałość do niczego cię nie doprowadzi, Joanno. Czy nikt ci jeszcze tego nie mówił?

- Czasami. Szczególnie mój kuzyn Richard. - Włączyła ekspres.

Filip usiadł na stołku:

- Jesteś jak powiew świeżego powietrza, Jo. Czy wiedziałeś o tym? Tak od razu się do nas dopasowałaś.

Jego wypowiedź przyprawiła ją o gwałtowne bicie serca, jednak najbezpieczniej było zachować nonszalancki ton.

- Wspólny Rynek nigdy nie miał się tak dobrze! Muszę coś zrobić dla umocnienia wspólnoty europejskiej!

- No dobrze, nikt jeszcze nie ma do ciebie pretensji - roześmiał się.

Pili kawę w milczeniu jak starzy znajomi. Wreszcie Jo poruszyła sprawę swego zakwaterowania.

- Filipie, czy mogę już teraz przeprowadzić się do mieszkania na górze? Będzie to korzystniejsze, bo będę bliżej pracy. Twoja matka jest wspaniałą gospodynią, ale nie mogę dłużej nadużywać jej gościnności - Nie dodała, że przeprowadzka oznacza towarzystwo nie tylko swego pracodawcy, lecz także innych ludzi, co może być korzystne.

- Nie martwiłbym się moją matką, ale rozumiem, że chcesz prowadzić swoje własne życie. - Zawahał się. - Jo, czy mogę ci coś doradzić? Trzymaj cały

czas drzwi zamknięte. Jesteś młoda i... pełna uroku... Czy muszę jeszcze coś dodawać?

Rumieniec pokrył jej twarz.

- Filipie, twoja troska o mnie jest wzruszająca. Dobrze, będę ostrożna.

## ***ROZDZIAŁ 4***

Pierwszy weekend letniego sezonu na polu campingowym zamku Chateau des Fleurs minął bez specjalnych wydarzeń. Kilka angielskich rodzin przyjechało w sobotę, grupa Niemców i dwie holenderskie przyczepy dopełniły liczbę gości do czterdziestu trzech osób i Jo przy pomocy Colette i Nadiny przygotowała udaną inauguracyjną kolację. Kiedy skończyły się brytyjskie wakacje bankowe (dni, w których zarządzeniem rządowym banki są nieczynne) i zmniejszyła się liczba gości, Jo zamknęła restaurację, koncentrując się na przygotowaniu dań mrożonych na wypadek, gdy pole campingowe znowu się zaludni.

Wolne dni teraz już uroczyście potwierdzone przez Filipa chciała przeznaczyć na odwiedzenie Honfleur, chcąc zbadać inny trop tajemniczej historii ojca.

Rankiem pierwszego wolnego dnia nałożyła białą koszulę z długimi rękawami, czarne spodnie i luźny szmaragdowy sweter. Zjadła szybko śniadanie w małej kuchence. Przyjemnie było mieć w końcu własny kąt, a porozstawiane tu i ówdzie różne przedmioty stwarzały przytulną domową atmosferę.

Kolorowa fotografia jej matki zrobiona na krótko przed jej ucieczką do Francji, ustawiona była na widocznym miejscu - na stoliku. Każdy, kto by tu wszedł, musiałby ją zauważyć.

Pozmywała po śniadaniu, wzięła kluczyki od samochodu i, tknięta przecuciem, włożyła fotografię matki do torby.

Niebo było szare, ale prognoza pogody zapowiadała jej późniejszą poprawę. Było jeszcze wcześniej i pusto na podwórzu. Bar był zamknięty.

Włączyła silnik samochodu i sięgnęła po mapę umieszczoną w skrytce na rękawiczki.

- Dzień dobry, Joanno.

Noga ześlizgnęła się ze sprzęgła, a samochód podskoczył, reagując na ręczny hamulec.

- Czy musisz tak straszyć ludzi? - wykrzyknęła, rzucając groźne spojrzenie Filipowi.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał, zerkając na mapę, którą trzymała w rękach.

- Chciałabym trochę poznać Normandię - odpowiedziała pewnie, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- I przy okazji poszukać krewnych?

Przez kilka sekund nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z wielkim wysiłkiem powstrzymała wybuch gniewu i przybierając swój najślodszy uśmiech, odparła:

- Zgadłeś.

- Jedziesz do Honfleur i będzie o wiele lepiej, jak pojedę z tobą. Co zamierzasz zrobić? Zagadnąć pierwszego starego rybaka, jakiego spotkasz?

Znowu zapadła cisza.

- Prawdę mówiąc, Filipie, nie zastanawiałam się nad tym - przyznała w końcu. - Oczywiście, będę zadowolona, gdy wybierzesz się ze mną.

- Daj mi pół godziny. Pojedziemy moim samochodem, bo twoim daleko nie zajedziemy. - Zajrzał do środka. - Te buty mają miękkie podeszwy? To dobrze, bo może będziemy mieli okazję pozełgować.

Było kilka minut po dziesiątej, kiedy przyjechali do małego portu, zbudowanego naprzeciw Hawru, w miejscu, gdzie ujście Sekwany rozszerzało się, łącząc się z morzem szeregiem kanałów. Filip zaparkował samochód i poprowadził Jo wzdłuż wału. Szare niebo zlewało się z gładką powierzchnią



wody, zaś w oddali widoczne były kontury rafinerii i dźwigi. Port w Honfleur był szpetny i niezbyt funkcjonalny, ale gdy dotarli do wewnętrznego basenu, widok zmienił się zaskakująco.

- Teraz rozumiesz, dlaczego to miejsce jest takie popularne - powiedział z uśmiechem Filip, prowadząc ją wzdłuż nabrzeża, gdzie jachty przepychały się, chcąc zdobyć najlepsze miejsca po trzech stronach nabrzeża.

Zatrzymali się na chwilę, patrząc na wspaniałą mieszaninę kolorów. Wysokie, wąskie domy w różnych pastelowych odcieniach, pokryte dachami o fantazyjnych liniach zachwycały swym wyglądem. Było tam mnóstwo barów i restauracji.

- Od kogo zaczynamy? - zapytała Jo, kiedy oglądali zgrabny niebieski jacht, zarejestrowany w St.Malo.

- Jeśli mnie przeczucie nie myli - powiedział Filip, rozglądając się - ten, kogo szukam, powinien być w barze za nami. - Położył rękę na jej ramieniu. - Poczekaj tutaj na mnie.

Mijały minuty i już zaczynała się zastanawiać, czy nie wejść do baru, kiedy zjawił się Filip w towarzystwie śniadego mężczyzny w niebieskim kombinezonie i w czarnej poplamionej tłuszczem czapce. Zamienili kilka słów, których nie dosłyszała, a potem Filip podszedł do niej.

- Babtysta zgodził się pozełgować z nami za godzinę i wtedy będziesz mogła z nim porozmawiać. Trudno w to uwierzyć, ale on mimo siedemdziesiątki ma jeszcze znakomitą pamięć. Na razie proponuję ci filiżankę kawy, potem poszukamy miejsca, gdzie zjemy lunch.

Tego dnia Filip był zajmującym towarzyszem. Kupili chleb, ser i wino i za godzinę Jo była już na dziobie dwudziestostopowego lugiera z brązowym żaglem, leniwie trzepoczącym w lekkiej bryzie. Łódź była przesiąknięta rybim zapachem, a pokład pokrywały rozrzucone puste muszle.

Przysłuchiwała się, jak jej pracodawca wysłuchuje poleceń przewoźnika. Ze sposobu ich wykonania wnioskowała, że ma w tej dziedzinie spore doświadczenie.

- Czy żeglowałeś ze swoim ojcem, Filipie? - spytała, kiedy opuszczali przystań w poszukiwaniu wiatru.

Przesunął się po ławce ku niej i uśmiechnął szeroko.

- Miał wspaniałą łódź o nazwie „Francine”, którą kupił po ślubie, lecz moja matka strasznie cierpiała na chorobę morską i nawet nie zbliżała się do niej! Henri i ja będąc małymi chłopakami prawie w niej mieszkaliśmy, chociaż ojciec, gdy tylko mógł, wypożyczał ją hojną ręką przyjaciołom. Babtysto - zawołał przez ramię - czy możemy rozwinąć żagiel?

Dziesięć minut później sunęli cicho po wodzie.

- Zamieńmy się miejscami, Jo - zaproponował Filip. - Szyper wie, że chcesz z nim porozmawiać, ale nie rozczaruj się, gdy nie będzie pamiętał. Jak już ci mówiłem, dwadzieścia cztery lata to szmat czasu.

Babtysta skinął na nią, by przesunęła się bardziej w jego kierunku. Nie spuszczał przy tym oka z poręcznika na szczycie masztu. Był pod wrażeniem jej znajomości francuskiego, nie wierzył, że naprawdę przyjechała z Anglii.

- Ależ oczywiście, tylko mój ojciec był Francuzem. Tyle o nim wiem, że przyjeżdżał z moją matką do Honfleur. Była młoda, nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Mam jej zdjęcie ze sobą.

Filip odwrócił się.

- Mogę je zobaczyć?

Wyjęła fotografię z torby i podała mu ją.

Dokładnie ją studiował.

- Ma bardzo charakterystyczny sweter w czerwone, białe i niebieskie pasy. Ty jesteś bardzo do niej podobna, Joanno, to prawie mogłabyś być ty. Czy wiesz, że to twój największy atut, a sposób prowadzenia rozmowy przyniósłby

zaszczyt każdemu detektywowi, ale w wypadku Babtysty lub kogoś innego, zapytaj po prostu , czy przypomina sobie podobną do ciebie dziewczynę.

- Czy naprawdę jestem tak do niej podobna? - spytała, uśmiechając się z zadowoleniem i przeczesując ręką włosy.

- Myślę, że to wszystko przez te brązowe oczy - powiedział z uśmiechem. Położył jej ręce na ramionach i spoważniał. - Wezmę ster, Babtysto. Joanna chce coś panu pokazać.

Podowała mu fotografię. Ciągle jeszcze czuła dotknięcie rąk Filipa. Przewoźnik trzymał zdjęcie w swych zniszczonych rękach i marszcząc czoło, wpatrywał się w fotografię jej matki.

Wolno potrząsnął głową.

- Przykro mi, przez te wszystkie lata widziałem tak wiele pięknych dziewczyn, że trudno mi jest cokolwiek powiedzieć.

- Cóż, była pewna szansa. Dziękuję, że pan się starał.

- Nie bądź rozczarowana - rzekł Filip, patrząc na motorówkę, mijającą ich z prawej strony. - Jak wrócimy, spróbujemy porozmawiać jeszcze z innym mężczyzną, więc rozchmurz się.

Joanna zaśmiała się. Filip posiadał szczęśliwy dar podnoszenia jej na duchu, kiedy była w złym nastroju. Przesunęła się wzdłuż ławki w kierunku rufy.

- Czy zatoniemy, jak zajmę się sterem?

- Nie masz nic przeciwko temu, Babtysto? Więc spróbuj, w razie czego jestem obok ciebie.

Naprowadzające dotknięcia palców Filipa spowodowały, że chwilowo zapomniała o rzeczywistym celu wycieczki do Honfleur. Czując jego bliskość, jeszcze bardziej rozkoszowała się smakiem soli na ustach i ciepłym słońca.

Było już po południu, kiedy przyплыnęli do przystani. Babtysta po mistrzowsku wprowadził łódź w wąskie przejście. Filip wyskoczył na brzeg, aby

przywiązać cumę. Jo zauważyła, że wsunął przewoźnikowi parę banknotów, ona natomiast dodała swoje serdeczne podziękowanie.

Na nabrzeżu zaczęła rozmyślać: „Co teraz?” - Wyjęła fotografię z torby.

- Coś ci powiem, Filipie. Zrobię powiększenie tego zdjęcia do naturalnej wielkości i będę je nosić po ulicy. Spowoduje to spore zamieszanie, ale może wtedy coś osiągnę.

- Wiedziałem, że mój przyjazd z tobą jest niezbędny, choćby z tego powodu, żeby przywołać cię do porządku!

Wziął jej rękę pod swoje ramię i ujął jej dłoń w mocnym uścisku.

- Ja jestem szefem i zabieram cię na spotkanie z Gastonem, jeśli tylko go odnajdziemy.

Niestety, Gaston wybrał się na połów i miał wrócić dopiero za kilka dni. Fotografia przechodziła z rąk do rąk w kilku barach, odwiedzili też wszystkie nadmorskie kawiarnie, ale bez powodzenia.

- To nie ma sensu, Filipie - powiedziała w końcu Jo. - To stara sprawa. Byłam głupia, że próbowałam w ten sposób.

- Nie martw się tak. Czasami nie warto poszukiwać śladów przeszłości.

Stali w wąskiej alei pomiędzy wysokimi domami. Odwrócił ją twarzą do siebie.

- Myślę, że wcześniejszy posiłek dobrze nam zrobi. - Nie czekając na odpowiedź, pochylił się i pocałował ją w czubek nosa. - Zamierzam poznać trochę lepiej moją mistrzynię kuchni i całkowicie zapomnieć o jej rodzinie!

Zaprowadził ją do małej restauracji przy końcu alei. Jej właściciel, pan Herbaut, powitał go jak starego przyjaciela i od razu zawołał żonę z kuchni. Bez wątpienia de Beauclair'owie byli tu dobrze znani.

Kiedy już złożyli zamówienie, Filip zwrócił się do Jo:

- Jedzenie jest tu niezłe. Potem musisz wyrazić swoją fachową opinię, natomiast teraz opowiedz mi, co porabiasz, kiedy nie gotujesz.

- A więc, panie śledczy, jeśli musi pan koniecznie wiedzieć, to słucham jazzu, lubię film i, co będzie chyba niespodzianką, jestem całkiem niezła w haftowaniu. Pamiętasz, mówiłam ci o babci Pearce i o tym, jak trudno z nią wytrzymać. Jedną cechę mamy wspólną: zamiłowanie do robótek. Babcia nauczyła mnie wszystkiego, co sama potrafi, i nadal robi piękne rzeczy.

- Moja matka też lubiła haftować, musisz kiedyś z nią o tym porozmawiać - powiedział Filip, gdy postawiono przed nimi garnek zupy rybnej.

- Hm... Pachnie wspaniale!

- Filipie? - Jo drobiła chleb do zupy. - Czy mogę o coś zapytać?

- Trudno mi powiedzieć, jeśli nie wiem, o co chodzi.

- Czy... czy byłeś kiedyś żonaty?

Powoli odłożył łyżkę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Tak, dlaczego pytasz? Zawahała się.

- Pierwszego dnia, kiedy odwoziłam Pierre'a do szkoły, on powiedział mi. Przez cały czas zastanawiałam się, czy to prawda.

Wzruszył ramionami.

- Mały uwielbia plotki i zbiera je od Teresy. Nie wierz we wszystko, co mówi to dziecko, ale w tym wypadku to prawda. Był to wielki błąd mojej młodości. Barbara była Amerykanką i studiowała filozofię francuską na Sorbonie. Byliśmy razem tylko dziesięć miesięcy, ale w końcu nie mogliśmy się doczekać rozwodu. - Popatrzył na nią uważniej. - Co jeszcze opowiedział ci Pierre?

- Że pobierzecie się z Luizą, kiedy skończy studia. Znacie się od dawna, prawda?

Filip złożył ręce na stole.

- Luiza i ja znamy się od dzieciństwa, chociaż jej wychowanie zupełnie różniło się od mojego. Jej ojciec był dyrektorem szkoły, teraz jest na emeryturze. Miał bardzo surowe zasady. Jednak... - wyprostował się - jeśli chodzi o ślub... Luiza chciałaby pracować w krajach Trzeciego Świata, więc zobaczmy...

Zapadła cisza. W tym czasie kelner zmienił nakrycia. Kiedy odszedł, oczy Filipa rozbliły.

- Teraz moja kolej, Jo. Musisz mi powiedzieć, czy w Anglii zostawiłaś jakiegoś przyjaciela?

Uśmiechnęła się.

- Myślę, że wielu! Miałam chłopaków, ale żadnego na serio. W Yorku była nas cała gromada i czasami pod koniec wieczoru przysiadalam się do przyjaciół i jadłam to, co sama przygotowałam! W Londynie było już inaczej. Ale tak w ogóle, to nie przepadam za architektami. Jedno dobre, że płacili nieźle, tak że mogłam zaoszczędzić na samochód. Bez auta nie dotarłabym tutaj.

- Kiedy zdecydowałaś się na poszukiwanie ojca? - zapytał.

- Dawno. Nie ustane, dopóki nie dowiem się prawdy.

- Życzę ci szczęścia - powiedział półgłosem, podając jej półmisek z warzywami. - Ale najpierw zabierzmy się do jedzenia, wołowina stygnie.

Restauracja zaczęła się zapelniać, gdy kończyli posiłek i wokół nich narastał gwar.

- Jestem idiotką! - nagle wykrzyknęła Jo po angielsku, gdyż zawsze rozmawiali w tym języku. Kilka głów odwróciło się w ich stronę, ale nie zwróciła na to uwagi. - Pytaliśmy wszystkich, czy pamiętają moją matkę, ale nikomu nie wspomniałam imienia Jo-Jo, oprócz Babtysty. Było to przezwisko ojca, ale ktoś w tym mieście mógłby je pamiętać.

- Jo, nie będę zaczynać wszystkiego od początku. To już byłaby przesada!

Filip obrócił wszystko w żart, ale coś w jego twarzy zmartwiło ją. Musiał biedak mieć dość całej tej sprawy. Kiedy restaurator znowu do nich podszedł, Jo zaryzykowała pytanie o ojca. Słuchał z uwagą.

- Proszę chwilę poczekać, porozmawiam z żoną.

Za chwilę jego żona stanęła przy stoliku, słuchając całej tej romantycznej historii. Zaprzeczyła jednak ruchem głowy, kiedy usłyszała imię Jo-Jo. Potem zwróciła się do klienta przy jednym ze stolików.

- Louis! Czy pamiętasz takie imię? Zajmowałeś się łodziami w latach sześćdziesiątych.

Mężczyzna skinął głową na znak, że słyszał każde słowo rozmowy. - Pamiętam kilka angielskich dziewczyn, jak najbardziej! Ale na temat tej... - skinął w kierunku Jo.

Wyjęła fotografię z torby i podała kobiecie, a ta przekazała ją dalej. Mężczyzna przypatrywał się.

- Jest tu coś znajomego! - rzekł powoli. - Mam wrażenie, że był tu mężczyzna zwany Joe, ale to było tak dawno temu. Może ja... - Przerwał. - Przykro mi, nie wiem, kto to był.

Zmęczona i rozczarowana Jo szła w milczeniu obok Filipa do samochodu, nie przestając rozmyślać. Zauważyła, że pani Herbaut, patrząc kątem oka na fotografię, kiedy podawała ją Louisowi, rzuciła swemu mężowi pytające spojrzenie, co świadczyło o jakiejś kontrolowanej reakcji. Wkrótce powróci do Honfleur, żeby z nimi szczerze porozmawiać, bez niczyjej pomocy.

Filip intensywnie o czymś myślał. Atmosfera bliskości i porozumienia, jaka tego dnia wytworzyła się między nimi, zniknęła bezpowrotnie. Znaleźli się w samochodzie.

- Chodź tu, moja grzeczna Joanno - powiedział przytulając ją, aż jej policzki dotknęły szorstkiego swetra. - To był długi, ciężki dzień i szkoda, że nie mieliśmy szczęścia. Może... Może najlepiej będzie zapomnieć o twoich poszukiwaniach, bo przynoszą ci tylko rozczarowania.

Zanim zdążyła zaprotestować, zaczął ją całować. Jo odpowiadała z gorliwością, jakiej nie mogła powstrzymać, i jakiej dotychczas u siebie nie znała.

- Dziękuję, że przyjechałeś ze mną, Filipie - powiedziała z lekkim drżeniem marząc, by znowu zaczął ją całować.

Położył ręce na kierownicy.

- Miło mi, że mogłem być pomocny - powiedział spokojnie, tak jakby między nimi nie zdarzyło się nic ważnego i nie patrząc na nią, uruchomił samochód.

Podczas następnych tygodni, kiedy camping ożywił się, a liczba gości w restauracji wzrastała prawie z dnia na dzień, Jo nie przestawała rozmyślać o swoich stosunkach z Filipem. Nie był już dla niej taki miły. Nie pozwoliła sobie upadać z tego powodu na duchu i z entuzjazmem rzuciła się w wir pracy.

Nie wykorzystała rady Marcela, który twierdził, że mnogość europejskich potraw zadowoli gości ze wszystkich krajów. Jo postanowiła przygotować tylko dobre miejscowe potrawy. Turyści przybywali do Normandii i większość z nich powinna być zadowolona z poznania tej kuchni. Odwiedzała regularnie miejscowe targi i kramy z rybami, gdzie małże, sole i makrele były zawsze świeże. Pachniały morzem, a kosze pełne czarnych muszli przypominały jej wycieczkę z Filipem i Babtystą.



## ROZDZIAŁ 5

Na początku czerwca, kiedy wracała z rynku, camping powitał ją zgiełkiem spowodowanym przez stado gęsi, które przemaszerowało beztrąsko przez otwartą bramę, a potem rozproszyło się między namiotami i przyczepami. Jo zatrzymała samochód przy sklepiku. Mogła tylko śmiać się na ten widok. Marcel, Francine i ogrodnik Jacques biegali tam i z powrotem, machali rękami, rozganiając ptactwo. Niektórzy goście usiłowali im pomóc, inni zaś wyglądali na porządnie przestraszonych.

Pierre wybiegł nagle zza rogu namiotu za dwoma syczącymi ptakami.

- Uważaj, Jo, jeden z nich to gąsior!

- Och, Pierre, to wszystko wygląda jak niezła komedia! - śmiała się, zatraskując drzwi samochodu. - Gdzie jest Filip? Czy on wie, co się wydarzyło?

Zadyszany chłopiec zatrzymał się przy jej samochodzie.

- Jacques mówi, że wyjechał do jakiegoś pociągu. Nie, nie wolno! - Odpędził jedną z gęsi od namiotu. - Powinienem teraz szukać farmera, ale tu jest o wiele ciekawiej!

Obserwowała, jak chłopiec i dwójka uciekinierów znikają za sklepem, po czym zauważyła dach przyczepy samochodowej, oczekującej przy głównej bramie, prowadzącej do biura campingu. W tej chwili wszyscy byli zajęci ptakami i nie zwracali uwagi na nowych gości. Kątem oka dostrzegła jeep Filipa, jadący wolno w kierunku bramy. Początkowo zamierzała pozostawić jemu tę sprawę, ale zmieniła zamiar, dostrzegając angielskie numery rejestracyjne. Od razu rzuciła się w kierunku bramy wołając:

- Richard! Och, Richard!

Kiedy po chwili Filip dojechał na miejsce, Jo serdecznie witała się z wysokim, barczystym kuzynem. Jego dwaj mali, jasnowłosi synowie skakali wokoło, starając się zwrócić jej uwagę na siebie.

- Więc to jest twoja rodzina - rzekł z uśmiechem jej pracodawca, gdy zostali przedstawieni sobie po dołączeniu do nich Jane, żony Richarda.

- Czy znajdzie pan dla nas miejsce? - spytał Richard. - W ostatniej chwili udało mi się dostać krótki urlop ze szpitala i nie miałem już czasu na załatwienie rezerwacji.

- Proszę do biura, doktorze Carlton. Myślę, że będę mógł znaleźć coś dla pana.

- O Boże, muszę lecieć! - wykrzyknęła Jo. - Z powodu gości i twojego przyjazdu zupełnie zapomniałam o restauracji. Filipie, mam nadzieję, że wiesz, co się tu dzieje. Wygląda na to, że goście są górą!

- Zostaw je mnie, Joanno i wracaj do swojej kuchni. Zaraz je przepędzę. Nie możemy pozwolić, abyś opuszczała się w pracy właśnie teraz, kiedy tak dobrze sobie radzisz! - dodał przez ramię, kiedy odchodził z Richardem w kierunku biura.

Jego pochwała była krzepiąca, ale Jo wiedziała, że musi utrzymywać wysoki poziom. Dobra opinia o restauracji zaczynała rozchodzić się na całą prowincję, o czym Filip marzył od dawna, i było nie do pomyślenia, aby teraz coś nie wyszło.

Jane, idąc z Jo do samochodu, cicho zapytała:

- Czy każe ci ciężko pracować?

- Tego dnia, kiedy przyjechałam, chciał mnie od razu odesłać z powrotem, ale nie sądzę, by teraz miał jakikolwiek powód do zmartwień. Powiedz mi lepiej, jak miewają się ciocia i wuj? - zaczęła dopytywać się o krewnych w Anglii. - A jak babcia Pearce? - dodała z uśmiechem.

- Wszyscy zapewniają o swej miłości i przyjaźni - odpowiedziała Jane. - Babcia ma nadzieję, że dobrze sobie radzisz i że nie zapomniałaś o powłoczce na poduszkę, którą przyrzekałaś zrobić jej na urodziny.

Jo uśmiechnęła się.

- Byłam pewna, że babcia o tym nie zapomni! Niestety, od czasu przyjazdu tutaj nie myślałam o haftowaniu. Byłam zbyt zajęta pracą.

- Czy już coś wiadomo w sprawie twojego ojca? - spytała Jane.

Była to szczupła blondynka, a tego dnia, mając na sobie niebieskie bawełniane spodnie i biały podkoszulek, wyglądała bardziej na siostrę chłopców niż na ich matkę.

Jo potrząsnęła głową.

- Niezupełnie! Chyba natrafiłam na słaby ślad, wówczas kiedy Filip zabrał mnie do Honfleur, wiesz, tego miejsca na pocztówce. Ale pojedę tam jeszcze raz, jak tylko będę mogła.

Jane zmarszczyła brwi.

- Twoja babcia nadal sprzeciwia się twemu pomysłowi poszukiwań ojca. Może powodem tego jest lęk przed poznaniem prawdy.

- Ja też mam pewne obawy - przyznała Jo. - Mimo to nie przestanę go szukać.

Jane ścisnęła ją za rękę.

- Życzę powodzenia, z pewnością na nie zasługujesz. Jeśli będziesz mogła, to zjemy z tobą kolację. No to do zobaczenia.

Tego wieczoru menu ułożone przez Jo składało się z kaczki, małży i krabów. O mały włos nie zdążyłaby na czas z przyrządzeniem kaczki z zielonym groszkiem, kiedy jednak pierwsi goście zasiedli za stołem, wszystko było gotowe. Richard i Jane przyszli wcześniej, żeby móc po kolacji położyć chłopców do łóżek, więc Jo wciąż zajęta w kuchni, prawie ich nie widziała. O wpół do dziesiątej mogła już trochę odetchnąć, ale wtedy jedna z kelnerek zawołała:

- Właśnie przyjechał pan Filip z panną Luizą. Czy zostało jeszcze trochę kaczki?

- Luiza? Nie wiedziałam, że przyjeżdża.

Teraz, kiedy mieszkała nad restauracją, rzadko bywała w zamku. Brakowało jej pogawędek z Teresą, która dostarczała jej informacji o Luizie.

Dyskretnie obserwowała Filipa i Luizę, żeby upewnić się, czy wszystko im smakuje, ale kiedy zauważyła, że nie interesuje ich, co jedzą, tylko to, co do siebie mówią, przestała na nich zerkać.

- Zaniosę kawę panu Filipowi - powiedziała Jo. Luiza mówiła coś do Filipa, lecz kiedy zauważyła Jo, wyprostowała się i umilkła.

- Szefowa przeszła dzisiaj samą siebie - powiedział Filip. - Czy przypadkiem nie jedliśmy gęsi?

Jego żartobliwy nastrój wywołał uśmiech na jej twarzy.

- Jeśli znowu uciekną, możesz powiedzieć Pierre'owi, żeby je tu przypędził! Cześć, Luizo!

Francuzka pogodnie przywitała się z Jo. Zachowywała się inaczej niż przedtem, była bardziej ożywiona. Ubrana w bawełnianą sukienkę w kolorach szarym i białym wyglądała blado.

- Jedzenie było znakomite! - powiedziała Luiza, nalewając kawę. - Sama robiłaś te wszystkie dania?

- Mam dwie pomocnice, które znają się lepiej ode mnie na francuskiej kuchni, ale wszystkie pracujemy razem.

- Masz profesjonalne podejście, Joanno. Bądź co bądź, jesteś wyszkolona w Cordon Bleu.

Twarz Filipa była spokojna, tylko drżenie w kącikach ust przypominało Joannie dżdżysty kwietniowy wieczór, kiedy po raz pierwszy spotkała tego Francuza, który teraz nieustannie zaprzętał jej myśli.

- Moja szkoła nie przygotowała mnie do pracy z szefami, którzy stroją sobie żarty z podwładnych - uśmiechnęła się do niego - ale miło, że nie zapomniałeś o moich kwalifikacjach!

Pozostawiła ich przy kawie i wróciła do kuchni, żeby pomóc kobietom przy sprzątanii.

Było już po północy, kiedy Filip pojawił się w drzwiach. Nie zawsze sprawdzał, czy wszystko jest zrobione jak należy, ale jej pomocnice promieniały, kiedy sypał pochwałami.

- Składam podziękowanie za wyśmienity posiłek. Jest już późno i wszystkie powinnyście iść do domu.

Jo przejechała ręką po wilgotnym od potu czole.

- Na szczęście, mam blisko. - Spojrzała na zegar wiszący na ścianie. - Marcel spóźnia się, powinien przyjść po pieniądze. Nic nie szkodzi, prześpię się na nich, robiłam to już wiele razy.

- Idziesz, Filipie? - zawołała Luiza.

- Poczekaj... Jo, Marcel powinien odbierać pieniądze każdego wieczora. To nie w porządku, abyś za nie odpowiadała, przecież jesteś tu sama. Ile razy to mu się zdarzyło?

Nie chciała Marcelowi przysparzać kłopotów.

- Dość rzadko - odpowiedziała. - Przychodzi po nie do mnie, jeśli kuchnia jest zamknięta - dodała bez zastanowienia.

- Rozumiem. Chodzi mi tylko o twoje bezpieczeństwo, Joanno, ale widzę, że nie muszę się martwić.

- Nie jest tak, jak myślisz...

- Co robisz po pracy, to twoja sprawa. Najważniejsze, że pieniądze nie są pozostawione bez dozoru. Już idę, Luizo. Dobranoc.

Wyszedł tak szybko, a ona chciała mu wyjaśnić, że nie lubi tych nocnych odwiedzin Marcela w swoim mieszkaniu. Gdy to się zdarzyło po raz pierwszy, wystraszona szybko oddała mu pieniądze, po czym zatrzęsnęła drzwiami, zanim mógł jej dotknąć. Trzeba przyznać, że nigdy się nie narzucał, ale z jakiegoś powodu nie ufała mu.

Następnego ranka Marcel przyszedł do restauracji.

- Przykro mi, Joanno, nie powinienem zostawiać cię z pieniędzmi, ale zatelefonowała moja żona. Długo rozmawialiśmy i to bardzo źle wpłynęło na Pierre'a. Miał znowu złą noc i nie mogłem go zostawić samego.

- Czy jest szansa na jej powrót? - spytała Joanna, zapominając o pieniądzach.

Wzruszył ramionami niepewnie.

- Kto wie... Teraz moim głównym zmartwieniem jest Pierre. Wakacje bez matki rozstrajają go.

- Może mi pomagać, kiedy tylko zechce. Przyda mi się jeszcze jedna para rąk do roznoszenia zamówień albo do uzupełniania zapasów.

- Tak? Jo, jesteś wspaniała. - Zrobił krok w jej kierunku.

Włożyła pieniądze w wyciągniętą dłoń Marcela. Zauważywszy na podwórzu myśliwskiego psa, którego goniło dwóch małych chłopców, wybiegła na zewnątrz.

- Jesteśmy z Fredem na spacerze! - zawołał sześciolatek Giles Carlton.

- Biegniesz za szybko! - dyszał o dwa lata młodszy Tommy, przebierając pulchnymi nóżkami, żeby nie zostać z tyłu.

- Czy pan de Beauclaire pozwolił na to? - zawołała za nimi Jo.

- Tak!

Odwróciła się i napotkała spojrzenie rozbawionych oczu Filipa. Marcel wyszedł za nią z restauracji i teraz stał twarzą w twarz z Filipem. Przez chwilę myślała, że de Beauclaire straci panowanie nad sobą, ale kiedy się odezwał, jego głos zdradzał tylko wewnętrzne napięcie.

- Pieniądze powinny znaleźć się w sejfie wczorajszego wieczora, Devereux.

Nastąpiła chwila ciszy, przerwana przez Freda, który rozradowany rzucił się na swojego pana. Jo pośpieszyła do przyczepy kuzynów.

- Mam wolne przedpołudnie, Richardzie. Trochę morskiego powietrza dobrze by mi zrobiło. Czy mogę pokazać ci Honfleur?

- To świetny pomysł - powiedział. - Ale czy twój szef nie chce czegoś od ciebie?

Usłyszała głos Filipa:

- Joanno, czy mogłabyś wziąć wolne przedpołudnie jutro, a nie dzisiaj? Nadine jest chora. Wyszłaś, zanim zdążyłem ci to powiedzieć - usprawiedliwił się.

Poczuła narastający gniew. Jego poprzedni komentarz skierowany był do niej. Marcel nie wiedział bowiem, że powiedziała Filipowi o spaniu na pieniądzech. Po chwili wahania zgodziła się.

- Przełożymy wycieczkę do Honfleur na jutro - powiedział Richard. - Dzisiaj byłoby za gorąco w samochodzie. Zamiast tego wybierzemy się na basen.

- Jo, ty też mogłabyś popływać - zasugerował Filip. - To by cię odświeżyło. Potem może być znowu mnóstwo roboty.

Ta łagodność była zwodnicza. Napotkała jego wzrok i odgadła, że to nie troska o nią tak nim kieruje. Chodziło mu jedynie, by ochłonęła z gniewu. Powstrzymała się od chęci powiedzenia mu, żeby sam sobie wskoczył do basenu.

Zabawy z Gilesem i Tommym i gonitwy z Richardem na głębokiej wodzie ożywiły ją i była gotowa do trudnej całodziennnej pracy w spiekocie letniego dnia.

Wracając do mieszkania, usłyszała, że ktoś ją woła.

- Joanno, możesz poczekać? Była to Francine, matka Filipa.

- Moja droga Joanno, tak dawno cię nie widziałam. Filip mówił mi, że restauracja prosperuje wspaniale. Wiedziałam, że dokonałam dobrego wyboru! Jestem zadowolona, że cię spotkałam. John i Cecile Headleyowie już wrócili z Ameryki. Oprócz nich chcę przyprowadzić jeszcze kogoś z przyjaciół na obiad dzisiaj wieczorem. Zamawiam stół dla czterech osób. Filip i Luiza mieli wczoraj swoją kolację.

- Czy Luiza zostanie na długo? - dopytywała się Jo.

- Przez kilka tygodni. Ma teraz przerwę w wykładach, zatrzymała się u nas i pracuje u Guilberta, żeby nabyć trochę praktyki.

- Słyszałam, że chciała pracować za granicą. - zauważyła ostrożnie Jo. Francine zawahała się.

- Być może, ale jeszcze odbywa praktykę i kto wie, co postanowi, kiedy dostanie dyplom lekarza. Jeszcze muszę sprawdzić, czy sprzątnięto pod prysznicami. Wczoraj mieliśmy skargę.

Przygotowania do wieczornego posiłku od początku przebiegały z kłopotami. Zwykle kiedy Jo miewała wolne przedpołudnia, mieszkająca w mieście Nadine kupowała świeże produkty w drodze do zamku, z których potem wspólnie z Colette wyczarowywały różne przystawki i desery. W ten sposób Jo koncentrowała się tylko na daniach mięsnych i rybnych. Tego dnia dziewczyna zastała w kuchni Colette, rozpaczającą nad kartonem kwaśnej śmietany, która nie nadawała się do jej czekoladowego ciasta.

- Zamiast tego wyjmij z zamrażarki sześćdziesiąt placuszków z wiśniami - poradziła Jo. - Zrobisz krem do avocado, a ja pojedę do miasta po pstrągi i małże. Dzięki Bogu, że przygotowałam menu na wiele dni naprzód!

W mieście było tak gorąco, że roztopił się lód w pojemnikach z rybami.

- Tysiącrotnie przepraszam panią - usprawiedliwiał się handlarz, kiedy zapytała o swoje zamówienie. - Pstrągi w lodzie czekają, ale małże już sprzedałem. Może zapyta pani w sklepie po drugiej stronie placu?

Po powrocie na teren campingu Jo nie odczuwała już dobroczynnych skutków porannego pływania. Była zmęczona i poirytowana, i w dodatku te parę małży, jakie udało się jej zdobyć, wystarczy najwyżej na sześć, siedem porcji.

Ciężko pracowały z Colette przez długie, gorące popołudnie. Od czasu do czasu Pierre wtykał głowę przez otwarte drzwi, co Jo przyjmowała z mieszanymi uczuciami. Para nóg na posyłki - to jedno, ale ciągłe gadanie, które im



towarzyszyło - to drugie. Była jednak zadowolona, że wyglądał na szczęśliwego.

- Nie, nie wolno! - wykrzyknęła nagle Colette i złapała go za rękę przy placuszkach z wiśniami. - Jeśli jakiś zostanie, dostaniesz jutro. Idź i zobacz, czy Luiza i Filip nie potrzebują czegoś.

- Pan Filip zabrał Luizę do Honfleur - niewinnie powiedział Pierre. - Teresa mówi, że „idzie na lepsze,” co chyba zwiastuje rychły ślub.

- Teresa za dużo rozpowiada - powiedziała Colette do Jo, kiedy chłopiec opuścił kuchnię. - Całe życie mieszkam na wsi i plotki z zamku rozchodziły się najszybciej.

Jo ostrożnie nałożyła łyżeczką ostatniego małża do eskalopki, dodała sos i włożyła zakąski do jednej z dużych lodówek.

- Moja matka opowiadała mi, że kiedy Francine opuściła swego męża, pana Claude'a de Beauclaira, plotkowano o nieustannych wizytach różnych dziewczyn w zamku - ciągnęła Colette, najwidoczniej nie potępiając plotkowania w swoim wykonaniu. - Pogłoski te ucichły, kiedy Filip i Henri wrócili, aby zamieszkać z ojcem. Moja matka uważała, że to Teresa rozpuszczała je z nudów. Potem była bardzo zajęta opieką nad chłopcami i nie miała czasu na wymyślanie historyjek!

- Być może - obojętnie powiedziała Jo, właściwie jej nie słuchając. Zaczynała właśnie planować następne posunięcie w swym planie poszukiwań ojca. Zaniedbała to, a minęła połowa lata. Jeśli Richard pojedzie z nią do Honfleur, wówczas będą mogli pójść do tej restauracji, gdzie jadła obiad z Filipem. Przeczynała, że restaurator i jego żona wiedzieli więcej, niż wtedy przyznali. Wypyta ich dokładniej.

W restauracji tego wieczoru był duży ruch. Było gorąco i duszno, zanosilo się na burzę. Wieczorna zmiana zaczęła pracę o szóstej i dwie kelnerki zdążyły się już pokłócić. Uspokoila je i postanowila spędzić więcej czasu w sali jadalnej.

Francine i jej goście przyszli punktualnie o ósmej. Wysoki wąsaty mężczyzna o gęstych, przetykanych siwizną kasztanowatych włosach był czwartą osobą w towarzystwie.

- Jo, to jest Paul Chenot - przedstawiła gościa Francine - bliski przyjaciel Claude'a, mojego męża.

- Mam nadzieję, że ciągle jestem przyjacielem całej rodziny, droga Francine - odpowiedział Chenot, ściskając dłoń Jo. - Witam panią. Powiedziano mi, że jest pani angielską kucharką. Czy dostaniemy rybę i frytki, albo... kielbaski i tłuczone ziemniaki? - dodał po angielsku.

Wiedziała, że stroi sobie z niej żarty i figlarnie odpowiedziała:

- Oczywiście, ale tylko w wydaniu Cordon Bleu!

Zwróciła się w stronę Johna Headleya i jego żony, Cecile, przywitawszy się, nie kryjąc zadowolenia.

- Najwidoczniej Normandia pani służy - powiedział John, obserwując ją. Jo zasłużyła na miły komplement, gdyż ubrała się w elegancki biało-zielony kostium. Wyglądała ładnie.

- Jak udały się studia nad amerykańską wojną o niepodległość?

- Bardzo, bardzo dobrze - odpowiedział - Tak dobrze, że postanowiłem tam nie wracać, przynajmniej przez parę miesięcy.

Jego żona była wyraźnie zaskoczona.

- Kiedy podjąłeś tę decyzję, mój drogi? - spojrzała na Jo, lekko potrząsając głową. - Myślałam, że w przyszłym tygodniu mieliśmy być w Bostonie. Ten mój mąż jest zawsze pełen niespodzianek!

John Headley nie odpowiedział od razu na pytanie żony, tylko ostrożnie odstawił kieliszek.

- Francine, czy Claude nie miał książki na temat historii amerykańskiej w swej bibliotece? Powinienem ją przejrzeć.

- Czyżby miało to zastąpić zwiedzanie prawdziwych pól bitewnych? - zdziwiła się Francine. - Jedno mnie cieszy: że nie wyjedziecie zbyt szybko.

- Przyznam, że powzięłem to postanowienie dzisiaj. Mam już mnóstwo materiału do opracowania, a północna Francja jest o wiele bardziej przyjemna w lipcu i sierpniu niż większość miejsc w Ameryce Północnej.

- Piję za to! - Cecile roześmiała się. - Dodam tylko, że nie byłam zachwycona perspektywą ponownych podróży. Joanno, czy przyjmiesz nasze zamówienie? Jeśli tak, to zaczniemy od małży.

Ponieważ nie było już małych przekąsek z małży, zdecydowano się na avocado. Kiedy pod koniec wieczoru Jo dyskretnie wręczyła rachunek, John odszedł od stołu z uczuciem satysfakcji.

- Świetnie, Joanno, naprawdę świetnie. Musisz teraz nas odwiedzić i wypróbować potrawy Cecile. Jeśli urządzą zawody na najlepszego gotowanego pstrąga, to nie wiem, kto wygra!

- Urządzmy trójstronne zawody - powiedział Paul Chenot. - Nasza Francine jest również doskonała w potrawach rybnych!

- Pochlebstwami nic nie wskórasz! - roześmiała się zarumieniona Francine, klepiąc go po ramieniu.

Jo popatrzyła na nią uważniej i zastanowiła się, czy w grę nie wchodzi tu uczucia. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat Francine de Beauclaire była nadal atrakcyjną kobietą, a tego wieczoru, w różowej sukni i z włosami zaczesanymi do tyłu, z pewnością nie wyglądała na matkę trzydziestotrzyletniego syna.

Pożegnalne uściski dłoni wywołały trochę zamieszania, po czym towarzystwo opuściło restaurację, a Jo wróciła do kuchni. Kiedy ostatni goście wyszli i wszystko zostało sprzątnięte tak, jak sobie życzyła, poczuła zmęczenie. Marcel punktualnie odebrał pieniądze, więc od razu poszła na górę. Śniła właśnie o gęsiach maszerujących przez camping w rytm bębnow, kiedy obudził ją natrętny dzwonek telefonu.

Znajomy głos po drugiej stronie spowodował, że serce podskoczyło jej z radości, dopóki nie zorientowała się, o co chodzi.

- Mówi Filip. Kilkoro gości z campingu rozchorowało się. Jest podejrzenie zatrucia. Wszyscy jedli ostatniego wieczoru w naszej restauracji. Musisz sobie szybko przypomnieć, co to mogło być.

- Nie wiem - wyjąkała, niezdolna do zebrania myśli. Następnie ogarnęło ją okropne podejrzenie. Małże! Zawsze takie świeże na straganie, dziś zostały kupione w obcym sklepie. Chyba nie zauważyła, że były nadpsute.

- Lepiej będzie, jak sobie szybko przypomnisz - ostry głos Filipa zabrzmiał w jej uchu jak ostrzeżenie. - Posłano po twojego kuzyna, który robi, co może, zanim dotrze tu Joseph. Chcę cię widzieć w biurze za dziesięć minut z próbkami jedzenia.

Rzucił słuchawkę, pozostawiając Jo zszokowaną i przestraszoną. Zawsze była taka ostrożna, wprost drobiazgowa, jeśli chodziło o świeżość potraw. Jak to się mogło zdarzyć?

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać. Naciągnęła bawełniane spodnie i koszulkę i pośpieszyła na dół do kuchni. Jak zwykle wszystkie resztki jedzenia były zapakowane w worki i wyniesione do pojemników na zewnątrz.

Wzdrygnęła się na myśl, że będzie musiała przeczesać śmietnik, ale zaraz przypomniała sobie, że zrobiła zakąski z samego mięsa, a muszle i inne odpadki zostały po południu wyrzucone do kontenera i wywiezione.

Błyskawica oświetliła ścieżkę, którą biegła do biura i wkrótce poczuła na twarzy pierwsze ciężkie krople deszczu.

Do środka wpadła zdyszana i przemoknięta do suchej nitki. Przetarła palcami oczy i zaskoczona zauważyła obecność Luizy, która szybko mówiła coś do telefonu. Obok niej stał Filip. Jego twarz stężała, kiedy zobaczył Jo.

- Masz jakiś pomysł, co to mogło być? - Jego kasztanowate włosy były zmierzwione, a spod rozpiętej do połowy białej koszuli widać było muskularną, opaloną na złoty brąz pierś.

Z trudem przełknęła ślinę i odsunęła do tyłu mokry kosmyk włosów.

- Małże... Tak podejrzewam, ale nie jestem pewna, ponieważ wszystkie zakąski zostały zjedzone, a muszle poszły do kontenerów. Nie sądzę, żeby to mogło być coś innego.

Luiza odłożyła słuchawkę.

- Filipie, karetki już są w drodze. Powiedz Francine, że jadę do szpitala i nie będzie mnie przez jakiś czas. Chcę zapoznać się ze sposobem kuracji, a ponadto oni wszyscy są z Niemiec i ponieważ znam trochę ich język, być może będę mogła im pomóc.

Filip uściskał ją.

- Dobra dziewczyna! - powiedział. - Ach, doktor Carlton!

Richard, mokry od deszczu, wszedł do biura.

- Czy doktor Guilbert przyjechał? - zapytał Filip.

- Jest teraz u pacjentów - odpowiedział Richard, kładąc rękę na przemoczonym ramieniu Jo. - Głowa do góry, kochanie. O niczym nie można przesądzać przed wykonaniem analiz. Doktor Guilbert chciałby dostać jak najszybciej wykaz wszystkiego, co podawałaś wczoraj wieczorem. Czy możesz to teraz zrobić? Uderzył piorun.

- Burza wcale nam nie pomaga - powiedział Richard, zwracając się do Filipa. - Mam nadzieję, że rzeka nie wystąpi z brzegów. Powinniśmy dowieźć chorych do szpitala w ciągu najbliższej godziny.

- Czy... czy naprawdę jest z nimi tak źle? - zapytała Jo, zdradzając strach.

- Myślę, że trójka młodszych wydobrzeje szybko, ale ze starszymi mogą być komplikacje. To jest związane z ich wiekiem. Rozstrój żołądka wyczerpuje, a serce starszego mężczyzny nie jest najmocniejsze.

- Jo, konsekwencje tego wypadku mogą być poważne.

- Richardzie... To tylko pięcioro, kto jest szósty? Zrobiłam z małży sześć zakąsek. Pamiętam teraz, że jadła je niemiecka rodzina, ale nie mam pojęcia, kto zjadł szóstą. Powinniśmy lepiej sprawdzić camping, chyba że był to ktoś z zewnątrz.

- Trzymaj się, kochanie - powiedział Richard. - Muszę iść do pacjentów. Luizo, idziesz ze mną? Jest znakomita - powiedział do Filipa. - Nie miałem pojęcia, że jest jeszcze studentką. Dopiero doktor Guilbert mi powiedział.

Komplement wywołał rumieniec na bladej twarzy dziewczyny. Miała na sobie biały fartuch, nałożony na niebieską bawełnianą spódnicę i taką bluzkę. Nieoczekiwanie wspięła się na palce i pocałowała Filipa w policzek.

- Teraz widzisz, jaka będę pożyteczna - powiedziała i wyszli z Richardem z biura.

Filip odwrócił się do Marcela.

- Możesz sprawdzić, czy na campingu nie ma jeszcze jednego chorego? Weź też paru cudzoziemców do pomocy.

Kierownik campingu szybko wyszedł na deszcz, nie mówiąc ani słowa.

Przez chwilę oboje milczeli. Jo siedziała zgarbiona na stołku, usiłując nie myśleć o tych wszystkich okropnych rzeczach, które mogą ją czekać. Nawet jak wszystkie ofiary wyzdrowieją, to prawdopodobnie wystąpią o odszkodowanie... i jedno jest pewne, Filip wymówi jej pracę.

Patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Powinnaś zrobić ten wykaz dla Josepha... Tutaj jest papier...

- Dziękuję - przerwała mu. - Przecież mam kompletne menu w moim segregatorze. - Z trudem zeszła ze stołka. - Pójdę tam i je przyniosę.

Podszedł do drzwi i otworzył je.

- Pójdę z tobą, na dworze jest niezbyt przyjemnie.

Deszcz padał nadal, ale nie tak ulewnie jak podczas burzy, po której zostały na ścieżkach wielkie kałuże.

Z powodu burzy jedna rodzina musiała uciekać ze swojego przekrzywionego namiotu do zadaszonej umywalni. Filip zamienił z nimi kilka słów i dał im klucz do sali tenisa stołowego, żeby mogli tam spędzić resztę nocy.

Grzmoty rozlegały się już rzadziej, ale Jo drgnęła na odgłos zbliżających się karetek.

- Daj mi ten wykaz, nie ma potrzeby, żebyś znowu wychodziła - powiedział Filip, kiedy wszedł za nią do kuchni. Dotknął jej ramienia. - Po burzy jest chłodno i przeziębisz się w tym przemoczonym ubraniu. Weź prysznic i wracaj do łóżka.

- Ale ci chorzy ludzie, muszę wiedzieć...

- Dzisiejszej nocy nie możesz nic więcej zrobić. Joseph i twój kuzyn opiekują się nimi.

- Luiza też pomaga. Będzie dobrym lekarzem - powiedziała wspaniałomyślnie Jo, usiłując zlekceważyć ból w sercu.

Filip złagodniał.

- Tak, myślę, że masz rację. A teraz musisz się przespać, bo jutro będzie ciężki dzień.

Przytulił ją i pogłaskał po mokrych włosach. Nie zastanawiając się, co robi, zarzuciła mu ręce na szyję i przez wspaniałą chwilę pozostawali w uścisku.

- Dobranoc, Jo - Jego usta musnęły lekko jej czoło. Została sama.

## **ROZDZIAŁ 6**

- Pora wstawać! Pora wstawać! - Piskliwe głosy dobiegające zza drzwi mieszkania wyrwały ją z głębokiego snu. - Wpuść nas!

Pomimo kłopotów nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy wstawała z łóżka.

- Wejdźcie, urwisy! - krzyknęła, otwierając drzwi.

Dwie jasnowłose postacie wpadły do środka, za nimi weszła ich młoda matka.

- Jakie są poranne wiadomości, Jane?

- Richard mówi, żebyś się nie martwiła. Starsze małżeństwo jeszcze nie przyszło do siebie, ale kuracja zaczyna skutkować. Richard i Luiza siedzieli w szpitalu prawie do szóstej. Potem ona poszła od razu do zamku, a my wypiliśmy po filiżance herbaty ale, oczywiście, chłopcy obudzili się. - Ziewnęła. - Richard chciałby teraz trochę się przespać, dlatego zabrałam ich z przyczepy. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza. Myślałam też, że może chłopcy trochę cię rozweselą.

Wszystko, co zdarzyło się w nocy, powróciło na nowo. Odsuwając od siebie wspomnienia z kuchni, zajęła się swymi małymi kuzynami.

Giles pokazywał na łacie krowy, które mógł dojrzeć z okna, natomiast Tommy gdzieś zniknął.

- Chodź i znajdź mnie! - zawołał stłumiony głos z sypialni.

Uśmiechając się do Jane, Jo przeszła na palcach przez pokój.

- Idę! Ale nigdzie nie mogę cię znaleźć! - dodała po chwili, patrząc na kopiec pod pościelą. Jeszcze trochę poudawała, że nic nie widzi, po czym dotknęła to „coś” na łóżku. - Coś bardzo dziwnego znajduje się tutaj. Jak myślisz, Giles, co to może być?

Starszy chłopiec nie zdążył odpowiedzieć, gdy z pościeli wyjrzał rozpromieniony Tommy.



- To ja jestem tutaj! - zapiszczał, podnosząc rękę.

Zaniosła go z powrotem do pokoju, gdzie jego brat trzymał fotografię Anny, jej matki.

- Giles, postaw to - szybko powiedziała Jane. - Przepraszam cię, Jo, nie powinnam pozwolić mu na ruszanie twoich rzeczy.

- Nie przejmuj się - Jo uśmiechnęła się. - Przecież wszyscy jesteśmy rodziną.

Chłopiec nadal trzymał w rękach fotografię.

- Śmiesznie wyglądasz, Jo. Ty nigdy nie nosiłaś takiego swetra, a twoje włosy...

- To jest fotografia mojej matki - powiedziała cicho. - To nie jestem ja.

- Ale wygląda całkiem jak ty - wymamrotał, z głową przechyloną w jedną stronę. - Ona nie żyje, prawda? Babcia Pearce powiedziała mi, że wybrała się do Francji szukać igły w stogu siana. Na polu, niedaleko naszej przyczepy, stoi stóg. Czy to o nim myślała, powiedz mi?

- Kochanie, to tylko takie wyrażenie. Szukam kogoś, kto znał moją matkę.

- Ta pani doktor i pan Bookle też szukali kogoś wczoraj. Ten Pierre powiedział mi o tym, kiedy bawiliśmy się. Powiedział, że pan Bookle nie wyglądał na szczęśliwego po powrocie.

- Pan de Beauclaire, Gilesie, a nie pan Bookle - Jane uśmiechając się, poprawiła syna.

„Widzisz, że mogę być pożyteczna” - powiedziała ostatniej nocy Luiza do Filipa. Czy miała na myśli, że będąc jego żoną, mogłaby być lekarzem na campingu?

Na razie jednak nie było sensu zajmować się takimi spekulacjami, więc kiedy została znowu sama, zadzwoniła do biura.

Marcel uspokoił ją, że reszta urlopowiczów czuje się dobrze. Rozmawiał już z kelnerkami, ale one nie przypominały sobie, kto zjadł szóstą przystawkę. Martwił się jedynie plotkami, którym nie sposób było zaradzić.

Jo przytakiwała mu, ale trapiło ją jeszcze co innego. Wkrótce będzie musiała stanąć przed Filipem de Beauclaire'em - człowiekiem, który zadecyduje o jej przyszłości. Formalnie miała dzisiaj wolne przedpołudnie, lecz wydarzenia ubiegłej nocy spowodowały, iż wycieczka do Honfleur nie wchodziła w grę, postanowiła więc przejść do zamku i odwiedzić

Francine. Madame de Beauclaire знаła każdy sklep w mieście i będzie mogła od razu jej powiedzieć, czy zrobiła błąd, kupując tam małże.

- Georges jest człowiekiem, na którym można polegać - zapewniła Francine, kiedy Jo odnalazła ją w kuchni z Teresą. - On nie umiałby ci sprzedać czegoś nieswieżego. To do niego nie pasuje. Chodź, napijmy się kawy i zapomnijmy o tym.

Jo przyjęła tę propozycję z wdzięcznością, ponieważ nie chciała pozostać sama ze swoimi niezbyt przyjemnymi myślami.

- Luiza wspaniale spisała się ostatniej nocy. Wywarła dobre wrażenie na moim kuzynie.

Francine uśmiechnęła się.

- Tak, ona będzie dobrym lekarzem.

- Ale nie jest zbyt mądra - wtrąciła się Teresa, nalewając sobie kawy.

- Co masz na myśli?

- Wcale nie kładła się spać i od razu wybrała się gdzieś z Filipem. To przyjemne uczucie widzieć ich razem, ale powinna na siebie uważać i nie przesadzać.

Francine roześmiała się.

- Tereso, ty ich wciąż traktujesz jak dzieci, oni dawno przestali nimi być.

- Popatrzyła na zegarek. - Wybacz mi, Joanno, ale muszę cię opuścić. Wybieram się z Cecile Headley na targ antyków. Cecile handluje nimi w Paryżu i ma

stoisko na targach. W czasie ich trwania mieszka u nas. - Spojrzała na bladą twarz Jo. - Może wybierzesz się z nami? To by ci dobrze zrobiło. - dodała.

- Muszę tu pozostać na wypadek, gdybym była potrzebna.

- To przynajmniej obejrzyj wiejski dom Headleyów. Myślę, że nikt nie będzie cię szukał w ciągu najbliższej godziny. Podwiozę cię do wsi, jak będziemy jechali na targ. Jeśli Filip będzie o ciebie pytał, to Teresa powie mu, gdzie jesteś.

Opieka tej życzliwej kobiety podziałała naprawdę krzepiąco. Pojechali małym citroenem przez płataninę wiejskich dróg do domu Headleyów, odległego o kilka kilometrów.

Jo wysiadła z samochodu i z przyjemnością rozejrzała się wokół. Wiejski dom, w kolorach brązu i ochry, stał w środku bujnego ogrodu, pełnego róż i krzewów. Z jednej strony znajdował się staw, a z drugiej, trochę z tyłu, widać było stajnie.

- Jakie piękne miejsce! - wykrzyknęła, kiedy John i Cecile wyszli ich powitać.

- To nasze schronienie - powiedział John, uśmiechając się i prowadząc dróżką do małego tarasu nad stawem. - Miło mi, że w końcu zdecydowałyście się na odwiedziny u nas. Czy macie czas na krótką wycieczkę?

- Nie przesadzaj z tą propozycją, bo jest chłodno po nocnej burzy - powiedziała jego żona. - Wejźmy do środka, a ty w tym czasie pokaż Jo dom. - Rzuciła trudne do odgadnięcia spojrzenie i wprowadziła gości do ogrodu.

Przez cały czas, kiedy oglądali dom z jego krzywymi podłogami i mnóstwem starych antyków,

John interesująco rozprawiał, ale Jo wydawało się, że niezupełnie na temat. Małżeństwo zawsze traktowało ją bardzo przyjaźnie, lecz tym razem odniosła wrażenie, że ta szczerość była trochę wymuszona.

Wtedy przypomniała sobie, że mijały po drodze rowerzystę.

To był Pierre, który musiał opowiedzieć Headleyom o wypadkach ostatniej nocy. Sami bowiem jedli kolację w jej restauracji. Nic dziwnego, że zachowywali się z rezerwą.

Pół godziny później zamyślona Joanna szła drogą prowadzącą do zamku. Postanowiła pozostać w Normandii i kontynuować poszukiwania ojca, nawet jeśli Filip ją wyrzuci. Tylko gdzie znajdzie jakieś lokum? Schronienie u Headleyów nie wchodziło teraz w rachubę, zaś wprowadzenie się do Marcela i Pierre'a nie wydawało się teraz również najlepszym rozwiązaniem. Pozostawali jeszcze Guilbertowie. Zapyta Josepha wprost, czy znał Annę Pearce, i może w końcu...

- Można pozazdrościć ci energii! Jednak może cię podwiozę?

Samochód Filipa zatrzymał się po drugiej stronie drogi.

Luiza wysiadła z wozu i odchyliła swój fotel, aby Jo mogła usiąść na tylnym siedzeniu. Kiedy auto ruszyło, Jo zmusiła się do pytania:

- Jak mają się pacjenci? Czy... czy wszyscy wyzdrowieją?

- Pan Schmidt, to znaczy dziadek, którego stan był najcięższy, powoli wraca do zdrowia i lekarze są dobrej myśli. Stan pozostałych szybko się polepsza.

- To nie zmienia faktu, że to wszystko nie powinno się wydarzyć - wtrącił Filip, umiejętnie wymijając duży niemiecki samochód turystyczny. - Oni są chyba znajomymi rodziny Schmidtów. Słyszałem o nich. Dobrze, że jestem prawnikiem - dodał, skręcając w zamkową bramę z kutego żelaza. - W razie czego potrafię zaradzić trudnościom.

Jeśli miał zamiar pozbawić Jo resztek nadziei, to wybrał najlepszy sposób. Poprosiła o zatrzymanie się przy ścieżce prowadzącej do campingu. Tym razem wysiadł Filip i przechylił swoje siedzenie, aby mogła wyjść.

- Może byś wzięła wolne na resztę dnia? - powiedział zdawkowo. - Rozmawiałem z Colette. Ona i Nadine poradzą sobie znakomicie, a tobie od-poczynek dobrze zrobi.

- Czy to znaczy, że mnie zawieszasz? - zapytała, wpatrując się w niego dużymi brązowymi oczami.

- Joanno, to bardzo trudne pytanie. Nie, nie zawieszam cię, ponieważ nie ma żadnego dowodu. Musimy poczekać na wyniki analiz. Joseph zatelefonuje po południu.

Miała nogi jak z waty, kiedy szła pomiędzy namiotami w stronę przyczepy Richarda. Jedna filiżanka kawy u Francine, to było za mało, aby podtrzymać ją na duchu przez całe męczące przedpołudnie. Dopiero kiedy kuzyn zmusił ją do spożycia posiłku, poczuła się na tyle silna, aby stawić czoło najgorszemu.

- Jo, on cię nie wyrzuci - powiedziała Jane, zajęta zmywaniem przy maleńkim zlewie. - Jedna pomyłka niczego nie przesądza. A poza tym, co zrobisz z twoim ojcem?

- Jeśli będę musiała stąd odejść, znajdę jakieś lokum i będę kontynuować moje poszukiwania. Nie pozwolę, aby babcia Pearce mogła z satysfakcją stwierdzić: „Przecież ci mówiłam”.

- To się nazywa hart ducha! - zaśmiał się Richard. Nagle głos mu się zmienił. - Chyba jedzie doktor Guilbert.

W jednej chwili Jo była na nogach.

- Pójdziemy razem - powiedział spokojnie. - Tak samo jak ty, chcę usłyszeć wyrok.

- Filip już tu idzie - powiedział Guilbert, kiedy spotkali go na podwórzu.

Było jasne, że nie powie nic do czasu, aż będzie obecny właściciel Chateau des Fleurs. Weszli do pustej restauracji. Czekać na przyście Filipa, obserwowała twarz doktora, spokojnie i profesjonalnie dyskutującego z Richardem na temat zatruc pokarmowych. Joseph Guilbert miał łagodne brązowe oczy, a na jego płaskiej twarzy zaczęły pojawiać się zmarszczki. Tego dnia wyglądał na zmęczonego.

- No więc, Josephie? - rzekł Filip, gdy podszedł do stolika.

- Nie ma wątpliwości, że powodem zatrucia były skorupiaki.

Jo poczuła się tak, jakby otrzymała mocny cios w brzuch.

- Mówi pan „skorupiaki”. Co pan ma na myśli: małże czy coś innego?

- To musiały być małże - wolno powiedział Filip. - Nie podawałaś innych skorupiaków. Niemcy przyznali, że jedli zakąski, chociaż trudno się było z nimi porozumieć, mimo pomocy Luizy.

Richard przykrył jej dłoń swoją.

- Co teraz, panie de Beauclaire? Filip popatrzył na nich oboje.

- Joanna jest znakomitą kucharką i myślę, że taka przykra pomyłka nie powtórzy się więcej. Ale... będę musiał podjąć kroki prawne przeciwko sklepowi i nie ma wątpliwości, że rodzina Schmidtów postąpi tak samo wobec mnie. Najpierw będzie dochodzenie i ty, Jo, musisz w nim uczestniczyć. Opinia restauracji na tym ucierpiała, więc będę musiał cię zawiesić, bez potrącania zarobków, do czasu zakończenia dochodzenia. Radziłbym, abyś wchodziła do kuchni tylko wtedy, gdy będzie dużo klientów.

- Colette i Nadine nie będą z tego zadowolone - powiedziała Jo, potrząsając głową.

- Teresa pomogła im trochę dzisiaj rano i tak samo zrobi jutro.

- Myślę, że on postępuje bardzo rozsądnie - powiedział Richard, gdy Francuzi opuścili restaurację. - Inny wyrzuciłby cię od razu, nie czekając na wyjaśnienie sprawy. Skinęła głową.

- Wiem, i doceniam to. - Zmarszczyła brwi. - Richardzie, ciągle martwi mnie szósta przekąska. Ktoś ją zjadł, tylko kto?

- Teraz nie martw się tym, idź i odpocznij. Wpadnij do przyczepy około szóstej, wybierzemy się gdzieś na kolację. Co ty na to?

Przed pójściem na górę zajrzała do kuchni pełnej smakowitych zapachów. Obie kobiety pocieszały ją, jak mogły najlepiej. Colette była pewna, że małże były świeże. Było dla nich nie do pomyślenia, żeby Jo tego nie zauważyła.

Pokrzepiona ich zaufaniem weszła na schody i sięgnęła do kieszeni spodni po klucz. Nagle zatrzymała się, dostrzegając fotografię matki, która stała na podłodze oparta o drzwi. Wróciła myślą do poranka, kiedy Giles ją oglądał. Może ją zabrał, a ona nie zauważyła jej braku. Jednak wyraźnie pamiętała, że zanim wyszli, Jane poleciła mu odstawić fotografię na miejsce. Ktoś jeszcze musiał mieć klucz. W grę wchodził tylko Filip i Marcel, ale było zagadką, dlaczego fotografię zostawiono na zewnątrz mieszkania.

Problem ten dręczył ją przez cały wieczór, który spędziła z krewnymi, również w nocy, kiedy nie mogła zasnąć. Jej nerwy były tak napięte, iż kiedy zadzwonił telefon, nie mogła przez kilka sekund wydusić słowa.

- Mówi Marcel. Proszę cię, czy mogłabyś przyjść do mnie? Pierre miał straszny koszmar. Zachowuje się histerycznie i przez cały czas cię woła. Ja po prostu nie wiem, co robić.

- Ależ, Marcelu...

- Proszę. Jo, zrób to dla Pierre'a.

Dziesięć minut później była przy łóżku chłopca. Jego zachowanie upewniło ją, że dobrze uczyniła, przewyciężając niechęć odwiedzenia domu kierownika campingu w środku nocy. Kiedy w końcu dreszcze ustały, wytarła twarz Pierre'a i podała mu kubek czekolady, przyniesiony przez Marcela.

- Twój tato przyniósł to dla ciebie, Pierre. Jest bardzo gorąca, zobaczmy, kto odważy się na pierwszy łyk? - Chłopiec spróbował się uśmiechnąć, zanim potrząsnął głową.

- No dobrze. Ja się odważę!

Napój działał kojąco i wkrótce Pierre nabrał rumieńców. Rozmawiali potem o jego książkach, o astronomii. Na stole przy oknie leżał w połowie ukończony model największego na świecie radioteleskopu.

- Pierre, jesteś bardzo zdolny! Widziałam kiedyś prawdziwy, a ten wygląda tak samo.

Nagle chłopiec posmutniał. Dała znak Marcelowi, żeby wyszedł i usiadła na skraju wąskiego łóżka.

- Coś jest nie w porządku? Chodzi o coś więcej, nie tylko o sny, prawda?

Pierre powoli skinął głową.

- Powiedz mi.

- Będziesz zła i... i pan Filip. Jo położyła dłoń na małej rączce.

- To ja to zjadłem. Nie wiedziałem, że o to właśnie jest tyle szumu.

Słyszałem karetki, ale nie wiedziałem, z jakiego powodu, dopóki nie zapytałem Jacquesa.

- Pierre... - powiedziała ostrożnie - czy mówisz o małżach, tych w sosie, w małych eskalopkach?

- Tak. Wziąłem jedną porcję z kuchni, jak nikt nie patrzył. Właściwie... - jego policzki zaróżowiły się - szukałem placuszka z wiśniami, ale uwielbiam również małże, więc...

- Więc zjadłeś jedną porcję i zostawiłeś pięć, a kelnerka tego nie zauważyła, ponieważ nie wiedziała, ile porcji przygotowałam! Pierre, czy wiesz, że jesteś najwspanialszym chłopcem na świecie! Oczywiście, nie powinieneś jej zjadać, ale teraz to nieważne, bo nie zachorowałeś! - Przerwała z ręką przy ustach, gdy Marcel wrócił.

- Marcelu, czy Pierre wymiotował, czy miał jakieś bóle albo biegunkę?

- Nie, z całą pewnością nie. Dlaczego pytasz? - Jego twarz rozjaśniła się.

- Chcesz powiedzieć, że to on zjadł szóstą zakąskę? Ty mały złodzieju! - drażnił się z synem. - A ja przez cały dzień szukałem jeszcze jednej ofiary zatrucia. Nic nie szkodzi! To przynajmniej znaczy, że Jo jest niewinna. To dobra wiadomość i należy ją uczcić. Może kieliszek calvadosu?

- Nie, Marcelu, dziękuję, nie o drugiej w nocy! - Ścisnęła rękę Pierre'a. - Już późno i muszę iść. Śpij dobrze. Powiem o tym jutro panu Filipowi. Przyrzekam, że nie będzie złościć się na ciebie. Na pewno się ucieszy, gdy się dowie, że zatrucie nie zostało spowodowane jedzeniem z naszej restauracji.



- To jest najważniejsze. Ale problem pozostał, bo skąd wzięto to jedzenie? - cicho rzekł Marcel, sprowadzając ją ze schodów. - Analiza wykazała skorupiaki, jesteś pewna, że nie było ich w żadnej innej potrawie?

- Całkowicie - odpowiedziała z przekonaniem, sięgając ręką do klamki.

- Czy musisz już iść? Może zostaniesz? - Zrobił ruch, jakby miał stanąć w przejściu.

Serce zabiło jej mocno. Czyżby Marcel znowu był po kilku kolejkach calvadosu? W rzeczywistości był przyzwoitym człowiekiem, który chciał jak najlepiej dla swego syna.

- Marcelu - powiedziała stanowczo - jeśli chcesz przekonać swoją żonę, że powinna do ciebie wrócić, oraz chcesz, żeby Pierre był normalnym dzieckiem, rozwijającym się bez stresów, to myślę, że najlepiej będzie, jeśli już pójde.

Pozwolił jej odejść, szczerze dziękując za pomoc okazaną Pierre'owi. Chmura częściowo przesłoniła księżyc i ledwo było widać drogę. Prześliznęła się przez bramkę przy podjeździe i przeszła na ukos przez ogród. Usłyszała trzask otwieranych drzwi. Nie przestraszyła się, mimo że była zupełnie sama.

Wielka bryła zamku rzucała dziwne cienie na taras, ale cienie te były przyjazne i czuła się całkiem pewnie, idąc pomiędzy krzewami i dalej ścieżką w kierunku campingu.

Przed ósmą nazajutrz była w zamkowej kuchni. Chciała być pierwszą osobą, która przekaże Filipowi dobrą nowinę.

- Zawiózł Luizę do pracy, do przychodni doktora Guilberta - Teresa poinformowała ją z satysfakcją w głosie. - Ona sama nie prowadzi samochodu.

Jo straciła humor. Podziękowawszy za kawę, poszła do biura campingu, niestety, jeszcze zamkniętego. Usiadła więc na stopniu i przyjaźnie pomachała ręką angielskiej rodzinie, wybierającej się na wycieczkę. Chwilę później przed biuro zajechał Filip.

- Dzień dobry, Filipie! - zawołała triumfalnie. - Mam wspaniałe wiadomości!

- Myślę, że będzie lepiej, jak poczekaasz z tym, aż znajdziemy się w środku - powiedział spokojnie, wyciągając z kieszeni pęk kluczy.

Zbita z tropu weszła za nim do biura i czekała, aż zamknie drzwi.

- No więc, przyszedłś opowiedzieć mi o swoich nocnych wędrówkach?

- Czyżbyś mnie widział? Wobec tego dobrze mi się wydawało, że coś słyszałam, przechodząc obok zamku. Zamiast przedwcześnie wyciągać wnioski, posłuchaj mnie, Filipie...

- Miło mi, że jesteś taka zadowolona.

- Ależ, Filipie...

- Posłuchaj - przerwał jej gniewnie - Marcel i Marie-Claire nie mieszkają ze sobą od roku, czego Pierre nigdy nie zaakceptował. Ostatnio Marie kontaktowała się z nim i jest pewna szansa, że mogliby zacząć wszystko od początku. Problem w tym, że Marcel ma, niestety, słabość do ładnych dziewczyn. O tobie natomiast myślałem, że masz więcej rozsądku, i nie rzucisz się od razu w jego ramiona.

Jo poczuła wzbierającą złość. Zaliczanie jej do „ładnych dziewczyn” w tych okolicznościach nie było miłym komplementem.

- Masz myśli dziewczyny rodem z paryskiego rynsztoka! - wykrzyknęła.

- Czy dziewczyna nie może wejść do domu obcego mężczyzny bez obawy, że Tom, Dick czy Harry opacznie tego nie zrozumieją? - Jej brązowe oczy ciskały błyskawice. - Powiem ci, to Marcel zatelefonował do mnie, bo nie wiedział, co robić. Pierre miał nocne koszmary i nie mógł go uspokoić. Przy tym przez cały czas wzywał mnie. Co miałam robić - odmówić i rzucić słuchawkę?

Filip potrząsnął głową.

- Usiądźmy, dobrze? Wybacz, byłem zdenerwowany i może powiedziałem coś pochopnie. Czy nie byłoby rozsądniej poprosić kogoś, żeby z

tobą poszedł, na przykład kuzyna albo nawet moją matkę. Ludzie tutaj dużo plotkują i mogłoby to dojść do Marie-Claire.

- Dobrze. Przykro mi. Ale teraz chcę ci przekazać najważniejsze.

Twarz Filipa wypogodziła się.

- Wiem już. Marcel mi powiedział. Wybrał się z Pierre'em do Caen na cały dzień i zanim wyjechał, rozmawialiśmy. Bardzo się cieszę, że sprawy przybrały korzystny dla ciebie obrót.

Jo zawinęła rękawy u swej czerwonej koszuli. Szkoda, że Marcel uprzedził ją z wiadomością.

- Jeśli wyniki analizy wykazały, że to były skorupiaki, to ta niemiecka rodzina musiała je zjeść gdzie indziej.

Napięcie znikło i Jo parsknęła śmiechem.

- Ktoś będzie musiał porozmawiać z pacjentami, jeżeli już dobrze się czują.

- Chyba dzisiaj będą wypisani. Później zaopiekuje się nimi Luiza.

Wyglądało na to, że wszystko załatwione.

- Czy zostaję przywrócona do obowiązków szefa kuchni, panie de Beauclair?

- Tak, mademoiselle - odpowiedział równie uroczyście. - Do roboty, Jo, wracaj z powrotem do swojej kuchni! Dam ci znać, co Luiza będzie miała nam do powiedzenia po rozmowie ze Schmidami.

Poranek by pochmurny, ale ciepły. Ciągle jeszcze nie wykryła, kto ma dodatkowy klucz do jej mieszkania. Pytanie o to w nocy Marcela albo Filipa nie byłoby na miejscu. Pomyślała więc, że będzie musiała jeszcze cierpliwie poczekać. Przeszła przez teren campingu do przyczepy Richarda, chcąc przekazać mu dobrą wiadomość, ale myślami była wciąż w małym biurze, gdzie zostawiła właściciela

Chateau des Fleurs. Miał, co prawda, swoje humory, lecz od razu ustępował, jeśli nie miał racji. Był mądry, inteligentny, wesoły, przystojny... „Musisz to przyznać, jesteś w nim zakochana!”

## **ROZDZIAŁ 7**

Gdy wróciła do pracy w restauracji, powitały ją okrzyki radości. Koleżanki nawet chciały uczcić jej powrót winem, lecz jedyną rzeczą na jaką miała ochotę, była filiżanka dobrej herbaty. Oszołomiona odkryciem uczuć do Filipa i zmęczona po dwóch ostatnich prawie bezsennych nocach, nie była w stanie skupić się na pracy. Postanowiła zatem, że Colette zajmie się kuchnią według wcześniej przygotowanego planu. Dopiero krótka wizyta Luizy przywróciła ją do życia.

Niemcy rzeczywiście jedli skorupiaki tego wieczora. Po kolacji w restauracji wybrali się na lokalny festiwal do miasta, gdzie próbowali różnych dań ze straganów.

- Jest im przykro, że podejrzewali twoje jedzenie. Zamierzają znowu tu jadać, kiedy wrócą do zdrowia.

- To dobre wiadomości - powiedziała Jo, zajęta przygotowaniem dania z kurczaków i grzybów. - Czy ty będziesz dalej się tu stołować?

- Oczywiście! Jedliśmy z Filipem kaczkę w Honfleur, ale gdzie jej do twojej! Przyjedziemy na weekend, jeśli czas nam pozwoli.

- Czy mówisz o tej restauracji przy końcu alejki? - spytała Jo, starając się, aby zabrzmiało to obojętnie.

- Tak, o tej! Filip zna jej właściciela i jego żonę, która najlepiej potrafi przyrządzać ryby! On chciał... - przerwała.

- Niestety, na mnie już czas. Muszę jeszcze się uczyć dziś wieczorem. Do widzenia, Jo!

Podejrzenia były więc uzasadnione. Filip wrócił do restauracji. Teraz było konieczne, aby odwiedziła to miejsce, najlepiej przed powrotem Richarda i jego rodziny do Anglii.

Zauważyła, że Luiza zmieniła swój sposób ubierania się i zamiast ponurych strojów zaczęła nosić eleganckie, jasne kostiumy, które podkreślały jej doskonałą cerę i szczupłą figurę.

W przeddzień wyjazdu Richarda z rodziną pojechali do Honfleur. Był piękny lipcowy poranek. Rzuciwszy okiem na łodzie w starym basenie portowym, Jane zawiozła dzieci do Trouville, aby pobawiły się w piasku. Richard odwiedzał bary w poszukiwaniu rybaka o imieniu Gaston.

Jo miała więcej szczęścia. Zauważyła Babtystę rozmawiającego z niskim, siwowłosym mężczyzną w starej, białej koszulce i niebieskim kombinezonie.

Pozdrowiła ich obu po francusku i przypomniała Babtyście ich wycieczkę.

- Szukam kogoś, kto nazywa się Gaston - kontynuowała, zauważywszy jednocześnie Richarda, wychodzącego z baru po przeciwnej stronie basenu portowego. Trafiła w dziesiątkę.

- Pan jest Gastonem? - zwróciła się do stojącego obok niskiego mężczyzny. - Czy mogę pana o coś zapytać?

Pokazała fotografię swojej matki i powoli zadawała pytanie za pytaniem: Czy pamięta tę angielską dziewczynę? Czy znał może Francuza zwanego Jo-Jo?

Zanim Richard dołączył, znała już wszystkie odpowiedzi. Tak samo było w restauracji. Pan Herbert przywitał ich uprzejmie, podał znakomity lunch, składający się z morskiego pstrąga i sałaty, ale w niczym nie mógł pomóc. Przez cały czas jego żona pozostawała w kuchni.

- Nic nie rozumiem, Richardzie. Wygląda na to, że nie chcą mi pomóc - powiedziała, kiedy czekali na przystani na Jane i chłopców.

- Dlaczego tak postępują?

- Mam dziwne przeczucie, że Filip maczał w tym palce, tylko nie wiem, dlaczego chciałby powstrzymać mnie przed odnalezieniem ojca. Chyba nie odkrył, że był niebezpiecznym kryminalistą!

Na chwilę zapadła cisza, po czym przemówił Richard:

- Jo, czy to nie przypomina ci szukania igły w stogu siana, jak mówi babcia Pearce? Mówiłem ci już, że to nie ma sensu. Twój ojciec, jeśli jeszcze żyje, może być równie dobrze we Francji, jak i gdzieś w świecie. Daj sobie z tym spokój, radzę ci.

Możesz najwyżej umieścić ogłoszenia w gazetach, kiedy stąd wyjedziesz.

- Ja nie zamierzam się poddać. O, już jest Jane. Mój Boże, ale się opaliła!

Następnego dnia Carltonowie wyjechali do Anglii, a Jo zaczęła przygotowywać się do najazdu francuskich urlopowiczów. Tak rzadko widywała teraz Filipa, że zaczęła zastanawiać się, czy jej specjalnie nie unika. Pewnego ranka ze zdawkowej uwagi Marcela dowiedziała się o wyjeździe swego pracodawcy z Luizą do Paryża.

- Teresa ucieszy się z tego! - powiedziała swobodnie Jo.

Marcel spojrział na nią zdziwiony.

- To ze względu na Teresę Valbert oni mają się pobrać? Ja myślałem, że to końcowy etap ich wieloletniej przyjaźni.

Kiedy para wróciła z Paryża, Jo była prawie pewna racji Marcela. Wobec tego zbierała siły, aby wybrać się na rozmowę do doktora Guilberta. Pewnego popołudnia on sam ją odwiedził i zamówił na wieczór stół w restauracji.

- Moja droga, najwyższy czas, abym sprawdził, jak pani gotuje - powiedział na powitanie. - Słyszeliśmy z żoną bardzo pochlebne opinie.

Jo przekartkowała notes z rezerwacjami i zanotowała jego nazwisko. - Gdyby Pierre nie przyznał się do zjedzenia małży, byłabym już z powrotem w Anglii.

- Ale przyznał się i pani jest tu nadal - powiedział doktor z uśmiechem. - Mam nadzieję, że miło spędza pani czas w Normandii i może kiedyś pani jeszcze tu wróci.

Odprowadziła go na podwórze.

- Doktorze Guilbert... Josephie, masz dla mnie trochę czasu? Ja...

- Ach, tu jesteście! - Filip potrząsnął głową z żartobliwą surowością. - Pani powinna być teraz w kuchni, Miss Carlton, a nie zabawiać dżentelmena, nawet jeśli jest nim Joseph!

Doktor uniósł rękę.

- Przyszedłem ściśle w interesach, ale...

- W porządku! Zobaczymy się w sobotę wieczorem.

Joseph uważnie popatrzył na nią, a potem na Filipa i lekko uśmiechnął się.

- Więc powiem „au revoir”.

Odwróciła się i chciała odejść, ale Filip obserwował ją. Z jego oczu znikł wyraz rozbawienia.

- Joseph i Joanna... Jo-Jo? - rzekł powoli, nie schodząc jej z drogi.

- Nie masz żadnego prawa do szpiegowania mnie.

- Wcale cię nie szpiegowałem. Szukałem tylko dziewczyny, która przypadkowo prowadzi moją restaurację. Niemniej chciałaś zadać Josephowi parę pytań, prawda?

Nie odpowiedziała.

- Czy mogę teraz wejść do środka?

Nie ruszył się z miejsca, a wyraz jego twarzy przyprawił ją o zawrót głowy.

- Jo, powinnaś zaprzestać swoich poszukiwań. Masz tak mało wskazówek.

Pozostawała uparta.

- Jesteś tyle samo wart, co Richard. Też chciał, żebym się poddała.

Dlaczego obaj zupełnie nie chcecie mi pomóc?

Położył ręce na jej ramionach i uścisnął.

- Ponieważ... ponieważ nie chcemy, abyś się rozczarowała albo martwiła.

- Będę o wiele bardziej rozczarowana, jeśli naprawdę przerwę poszukiwania. A teraz z drogi! Czeka na mnie praca!

Przepuścił ją.

- Przyszedłem zaprosić cię na czwartek na małe przyjęcie do zamku. To jest twój wolny dzień, prawda? - Jego uśmiech zdradzał, że wie, że to jej urodziny.

- Mam dokładne dane o wszystkich moich pracownikach! - zawołał za nią, kiedy wchodziła do restauracji, rada z ich krótkiego spotkania.

Następny tydzień był szczególnie pracowity. Położenie campingu pośród pięknych wzgórz Normandii i z dogodnym dojazdem do portów nad kanałem La Manche i do Paryża, przyciągało tutaj wielu urlopowiczów z Europy północnej.

Każdego wieczora w restauracji mieli komplet gości i z tego powodu Jo nie była pewna, czy wziąć wolny dzień.

- Oczywiście, że musisz. To polecenie! - nalegał Filip, kiedy po śniadaniu wstąpiła do biura, żeby podzielić się z nim wątpliwościami. - Colette przyprowadzi swoją siostrę do pomocy i sprawa będzie załatwiona. - Okrążył biurko i podszedł do niej. - A więc od dzisiaj masz naprawdę dwadzieścia cztery lata, Joanno. Nie myślałem, że dziewczyna w twoim wieku mogłaby tyle dokonać, co ty. Dzięki tobie restauracja odniosła sukces.

Czuła, że się rumieni.

- Wcale nie jestem taką nowicjuską! - zażartowała, przypominając mu, co powiedział w wieczór jej przyjazdu.

Roześmiał się.

- Udowodniłaś, że się myliłem. Miło mi to przyznać, teraz muszę naprawić straszne uchybienie. - Łagodnym ruchem ujął jej rękę i ucałował ją z



właściwą elegancją prawdziwego Francuza. - Niech mi będzie wolno życzyć ci wiele szczęścia w dniu urodzin, Jo. - Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. - Spotkamy się wieczorem.

Kiedy wychodziła z biura, miała wrażenie, że unosi się w powietrzu i nawet nie zwróciła uwagi na pozdrowienia Marcela i Jacquesa.

Dzień był słoneczny, zaś małe, białe obłoczki wysoko na niebie wskazywały, że dobra pogoda utrzyma się dłużej. Jo postanowiła wykorzystać pogodę. Przebrała się w jasnoróżowe bikini, prezent od Richarda i Jane, zabrała ręcznik, książkę i okulary przeciwsłoneczne i poszła w stronę basenu.

- Jo! Jo! Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! - Usłyszała podniecony głos z wody.

Zobaczyła Pierre'a, płynącego w jej kierunku. Zaraz potem została bez ostrzeżenia ochlapana.

- Przestań! - śmiała się, odskakując na bok. - Poczekaj, mały...

Rzuciła swoje rzeczy i wskoczyła za chłopcem do wody. Chwilę później Jo wytrząsała wodę ze swych ciemnych loków i chichotała wraz z Pierre'em.

- Widzę, że wróciłaś na ziemię, a raczej do wody - zauważył z góry Marcel, który nie miał humoru.

- Cześć, Marcel! - odpowiedziała, zastanawiając się, dlaczego jest taki przygnębiony.

Pierre odpłynął, aby dołączyć do innych dzieci, nurkujących po monety, rzucane przez amerykańską parę.

- Przyłączysz się do nas? - zapytała, starając się zachować przyjaźnie.

- Jest połowa przedpołudnia, a ja mam mnóstwo pracy - powiedział surowo. - Przyszedłem jedynie sprawdzić, czy basen jest we właściwym stanie.

Uświadomiła sobie, że jest obserwowana przez cały czas przez Marcela i zanurzyła się po szyję w wodzie.

- Jest jeszcze coś, prawda? Pochylił się nad nią, mówiąc cicho:

- Joanno, wystawiasz się na pośmiewisko. Uczucia do Filipa masz wypisane na twarzy. Nie myśl jednak, że on się z tobą ożeni. Nie zrobi tego, nawet gdyby chciał, on jest przeznaczony dla Luizy.

Te słowa sprawiły, że zrobiło jej się zimno.

- Są już zaręczeni? Marcel wyprostował się.

- Jeśli pogłoski są prawdziwe, wkrótce zostanie to ogłoszone.

- Dlaczego mówisz mi o tym, Marcelu? - Wstała, żeby słońce ogrzało jej ramiona.

- Nie musisz pytać. Wiesz, dlaczego.

Obserwowała, jak oddalał się, żeby sprawdzić trampolinę po drugiej stronie basenu i rozmyślała, czy powodem jego zachowania była zwykła zazdrość. Prawdopodobnie nie był w niej zakochany, jednakże bardzo go pociągała, więc zabolalo go, kiedy odkrył, że ona była zainteresowana Filipem. Pierre nie odstępował jej przez cały dzień i jego towarzystwo wprawiało ją w dobry humor. Od czasu jego ostatnich koszmarów przebywał razem z nią dość często i bawiło ją, jak przynosi jej napoje i kupuje w sklepiku, za jej pieniądze, kanapki dla nich obojga. Jednak przyjęcie urodzinowe przestało ją cieszyć. Przeszła jej ochota, aby przebrać się w szmaragdowozieloną jedwabną bluzkę, narzuconą na czarną spódnicę. Nie miała nic odpowiedniejszego na taką okazję. Strój ten dodawał jej pewności siebie, a tego właśnie potrzebowała dziś najbardziej.

W zamkowym salonie powitano Jo serdecznymi życzeniami urodzinowymi. Byli wszyscy znajomi: Guilbertowie, Headleyowie i Luiza oraz goście, których pamiętała z pierwszego przyjęcia, jakie przygotowała zaraz po przyjeździe do Francji. Zauważyła Paula Chenota i podeszła do niego.

- Ach, angielska kucharka! - wykrzyknął kłaniając się. - Serdeczne życzenia z okazji pani urodzin.

Roześmiała się i podziękowała mu.

- Czy to antyki sprowadziły pana z powrotem?

- Joseph Guilbert poprosił mnie, abym obejrzał biurko z drewna różanego, jakie ma w swoim domu. Również Filip chciał zasięgnąć mojej porady w jakiejś sprawie, więc postanowiłem połączyć moją wizytę w sprawie interesów z udziałem w przyjęciu.

Jo rozejrzała się.

- Czy Filip przyjdzie? - zapytała Francine, która właśnie do nich dołączyła.

- Mój syn jak zwykle przepracowuje się - westchnęła Francine. - Dzisiejszego wieczoru przyjechało wielu nowych gości, więc przysłał wiadomość o swym spóźnieniu. To dobrze, że jest ruch na campingu.

Jo dotknęła jej ramienia.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, że urządziłaś dla mnie to przyjęcie. Jestem oszołomiona i bardzo ci dziękuję.

- To ja chciałam ci podziękować za to, ile dla nas zrobiłaś tego lata! - wykrzyknęła Francuzka. - Jest jeszcze inny powód do świętowania, ale... John! Czy przyszedłeś porozmawiać z Jo?

- Ostatnio mam atak „angielskiej choroby” i czuję, że potrzebuję rozmowy z krajanką - powiedział John Headley, biorąc drinka od Jacquesa, znowu przemienionego z ogrodnika w lokaja.

Gospodyni roześmiała się.

- Zabieram więc Paula, żeby porozmawiał z Cecile.

- Czy mogę napełnić twoją szklankę? - zapytał Jacques.

Francine wspomniała o „innym powodzie do świętowania”. Jo pamiętając słowa, jakie przy basenie wypowiedział Marcel, łatwo odgadła, o co może chodzić. Z wysiłkiem uśmiechnęła się do Johna i zapytała go, czy zamierza powrócić do Anglii na stałe.

- Wątpię. Tak długo pracowałem za granicą, a kiedy spotkałem Cecile, osiedlenie się we Francji było tego naturalną konsekwencją.

- Czy zawsze był pan pisarzem? - spytała, chcąc nagle dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- Byłem dziennikarzem. Odbyłem kilka podróży do Wietnamu podczas wojny, ale zdecydowałem się raczej opisywać historię, a nie ją tworzyć! A oto nasz gospodarz. Wygląda na zmęczonego.

Filip ubrany jeszcze w zwykłą koszulę i bawełniane spodnie, skinął co prawda w ich kierunku, ale oczami szukał Luizy. Jo zauważyła, że uniósł brwi, a dziewczyna prawie niedostrzegalnie potrząsnęła głową.

Jo zaczęła szybko mówić, aby przytłumić narastający ból w swoim sercu. Pierwszą rzeczą, jaka jej przyszła do głowy, była haftowana powłoczka na poduszkę, jaką miała skończyć dla babci Pearce; to sprowadziło rozmowę na temat życia w Nottingham i na restaurację w York, w której kiedyś pracowała. Pomyślała, że John jakoś dziwnie na nią patrzy i zastanawiała się, czy odgadł przyczynę jej niespodziewanego gadulstwa.

- Francine zaprasza nas do jadalni - powiedział w końcu. - Muszę więc odnaleźć Cecile. Tu jest bardzo gorąco. - Wyjął chusteczkę i przetarł czoło. - Czy to twoje dwudzieste czwarte urodziny?

Po chwili wszyscy zebrali się w jadalni i Jo została zaskoczona wyglądem wspaniałego, zimnego bufetu. Francine i Teresa przygotowały homary, dania z kurczaków, wszystkie możliwe sałatki i ogromny urodzinowy tort lodowy z jej imieniem.

- No i jak, jesteś zadowolona ze swojego przyjęcia? - szepnął jej ktoś do ucha, kiedy wpatrywała się w kolorowy stół.

Nie widziała wchodzącego Filipa, który teraz stał obok niej, ubrany odświętnie w jasną, letnią marynarkę i koszulę z krawatem.

- Wątpię, czy na to zasługuję? Jestem ogromnie zadowolona!

- Zdajesz sobie naturalnie sprawę, że wszystko po to, aby dopomóc angielsko-francuskim stosunkom w tym trudnym okresie naszej historii.

Jo wybuchnęła śmiechem.

- A jak wytłumaczysz tę profanację? - Wskazała na małą papierową flagę brytyjską, wetkniętą w tort. - Brytyjska flaga do góry nogami!

Filip objął ją delikatnie ramieniem.

- Paul, popełniono koszmarną pomyłkę dyplomatyczną. Co teraz zrobimy?

Oczy Paula Chenota rozblęły.

- Basen jest za daleko i szkoda byłoby zniszczyć taką ładną zieloną bluzkę. Może później! Ale teraz... czy widzę szampana?

- Dobry pomysł. Gdzie jest Jacques! Paul, czy możesz mi pomóc?

Pełna wdzięku Luiza w bladoniebieskiej sukni podeszła do niej z czystym talerzem.

- Proszę, nałóż sobie. Tu jest tyle jedzenia!

Jo podjęła szybką decyzję i spojrzała jej prosto w twarz.

- Z jakiego powodu jest ta druga uroczystość?

- Nie ma żadnej innej uroczystości, prócz twoich urodzin. - Unikała wzroku Jo. - Jeszcze nie dzisiaj, ale... - Dotknęła ręki Jo i jej twarz nagle rozpromieniła się - Już wkrótce. Mam nadzieję, że ty dowiesz się w pierwszej kolejności! Może zaczniesz od homara?

Jo straciła apetyt.

Gdy przeszli do salonu, Jo została zaskoczona widokiem prezentów, ułożonych na środku stołu. Filip znowu znalazł się przy niej.

- Otwórz je, gdy będziemy pili kawę, a Joseph zagra nam na fortepianie.

- Dlaczego wszyscy są dla mnie tacy mili? Pochylił się ku niej z uśmiechem.

- Mówiłem ci już, że to dla dobra stosunków angielsko-francuskich.

- To z tego powodu podarowałeś mi używaną francuską książkę kucharską! - roześmiała się, rozpakowując prezent od niego. Uważnie popatrzyła na książkę, którą trzymała w ręku. Na obwolucie widniało nazwisko „Elisabeth de Beauclair 1925”.

- Należała do mojej angielskiej babki - cicho powiedział Filip. - W przeciwieństwie do ciebie, nigdy nie nauczyła się prowadzić francuskiej kuchni. Chciałbym, aby ta książka należała teraz do ciebie.

- Dziękuję, Filipie. Będę ją cenić - i korzystać z niej!

Kiedy otwierała pozostałe prezenty: koronkowe chusteczki od Francine, czekoladki od Guilbertów, piękny szal od Headleyów, w głębi ducha starała się zrozumieć znaczenie prezentu Filipa, ale na razie nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Było już późno i przyjęcie dobiegło końca.

- Odprowadzę cię, Jo - powiedział Filip.

Noc była chłodna. Obeszli basen i poszli słabo oświetloną ścieżką.

- Filipie, czy będziesz ze mną szczerzy? - spytała nagle.

- A co chcesz wiedzieć? - W zdawkowo rzuconym pytaniu można było wyczuć napięcie.

- Pojechałeś razem z Luizą do Honfleur, kiedy Richard jeszcze tu był. Proszę, powiedz mi, czy ona coś wie o moich poszukiwaniach? A ty, czy coś ukrywasz?

- Owszem, powiedziałem Luizie. Myślałem, że natrafiliśmy na ślad w Paryżu...

- Och, Filipie! - Oburącz złapała go za ramię. Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Proszę, nie podniecaj się tak.

Ton jego głosu spowodował, że puściła go, a torba z prezentami upadła na ziemię.

- Przykro mi, Jo - ciągnął dalej - nic nie znaleźliśmy, a... a i w Honfleur nic nie wyszło.

- Ale dlaczego nie powiedzieliście mi o tym? - Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Po prostu nie rozumiem.

Wyciągnął po nią ramiona i przycisnął jej głowę do piersi.

- Proszę, Joanno, zostaw to. Zapomnij o poszukiwaniach i kiedy zamkniemy camping wracaj do Anglii, gdzie twoje miejsce.

- Nigdy nie przestanę! - powiedziała, z twarzą wtuloną w jego koszulę. - Chcę zostać we Francji, w Normandii... nie tylko z powodu mojego ojca.

Jego uścisk powoli zelżał, tak, że mogła na niego spojrzeć. W słabym świetle nie widziała wyrazu jego twarzy, ale wyczuwała w nim wewnętrzną walkę.

Jego usta znalazły drogę do jej ust. W tym pocałunku gorąco przez nią odwzajemnionym zawarta była pasja i nieklamane oddanie. Potem krok do tyłu, ciągle trzymając jej rękę.

- Nie, moja droga Jo - rzekł łagodnie, ale stanowczo. - Przepraszam cię za to, co powiem. Nie mogę przeszkodzić ci, ale nie zostaniesz tutaj, w Chateau des Fleurs.

- Ale... - zaczęła i zaraz przerwała zdeorientowana. - Ja też przepraszam. Przypuszczam, że ty i Luiza... wybacz mi, Filipie. Jak zwykle, zachowałam się jak idiotka.

- Nie mów tak - powiedział cicho. - A jeśli chodzi o Luizę, to ona tak postanowiła.

## ROZDZIAŁ 8

Ostatniego dnia sierpnia pojechała jeszcze raz do Honfleur. Obłoki płynęły po niebie pędzone wiatrem. „Znakomity dzień do żeglowania” - pomyślała ze smutkiem. Obeszła wszystkie znane sobie miejsca i uzyskała wreszcie odpowiedź na jedno z dręczących ją pytań. W trakcie delikatnej sondy Babtysta przyznał, że Filip prosił go, by nie wyjawiał niczego, co mogłoby ją zmartwić.

- To znaczy, że pan coś wie, Babtysto. O co chodzi?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Dałem słowo panu Filipowi. Nie mogę go zawieść.

Wróciła na camping. Kiedy parkowała samochód przy restauracji, zauważyła Filipa rozmawiającego z grupą turystów. Szła w ich kierunku, lecz zatrzymał ją zadyszany głos.

- Jo, proszę...

Był to Pierre, najwyraźniej potrzebował pomocy. Spojrzała na chłopca i zawróciła.

- O co chodzi, Pierre? - zapytała łagodnie. Nie odpowiedział. Wówczas poprowadziła go do małego sadu na tyłach budynków restauracyjnych.

- Usiądźmy tutaj. - Wskazała na powalony pień drzewa. - No więc, co się stało?

Usta chłopca drżały.

- Mama... nie wróci, już nigdy. Ale mówiła, że wróci, jak rozmawialiśmy przez telefon... przyrzekła! - Rzęsiste łzy spływały po policzkach. - Ostatniej nocy słyszałem, jak tata rozmawiał z panem Filipem. Byłem na górze w moim pokoju, kiedy Filip przyszedł do naszego domu. Tata zdenerwował się i zaczął krzyczeć... Potem gdy zrobiło się cicho, zakradłem się na półpiętro. Po chwili wyszli obaj z pokoju... - Pierre przycisnął do ust zwiniętą w pięść rękę.

Jo objęła go ramieniem.

- Mów dalej, proszę.



- ...i usłyszałem, jak Filip powiedział, że... że ona nigdy nie wróci.

- Pierre, jesteś pewien?

Odpowiedział ponurym głosem:

- Tata powiedział: „ Nie winię jej”. Więc to chyba prawda.

Jo pozwoliła mu się wypłakać. Wewnątrz trzęsła się ze złości przeciwko dorosłym, którzy doprowadzili dziecko do takiej rozpacz.

- Jo - powiedział w końcu - ty zostaniesz, prawda? Jeśli mama nie wraca, to tata może ożenić się z tobą. To by mi się podobało. - Popatrzył na nią z nadzieją. - Proszę, nie odjeżdżaj.

Potrząsnęła głową.

- Niestety, muszę, za parę dni camping zostanie zamknięty. A jeśli chodzi o wyjście za mąż za twojego tatę... nie sądzę, żeby coś z tego wyszło... przykro mi, Pierre. - Ścisnęła jego rękę. - Ale jeszcze nie odjeżdżam, jeszcze będę musiała przygotować kilka posiłków. Możesz mi pomagać i jak będziemy mieli szczęście, to znajdziemy jeszcze jeden placuszek z wiśniami!

Troska o chłopca zepchnęła jej problemy na dalszy plan. Konfrontacja z Filipem mogła poczekać.

Na początku września Francuzi zaczęli wyjeżdżać i de Beauclaire'owi postanowili zamknąć camping. Jo podała w restauracji ostatni posiłek, spędziła jeden dzień na czyszczeniu kuchni i następnego ranka poszła do biura z plikiem rachunków i czeków do podpisania.

- Pewnie wkrótce wrócisz do twojej praktyki prawniczej - stwierdziła, kiedy złożył ostatni podpis. - Francine będzie za tobą tęsknić - ciągnęła dalej, starając się nadać swemu głosowi naturalne brzmienie.

Spojrzał znad biurka, lekko się uśmiechając.

- Jeszcze nie zauważyłaś, że moja matka ma głowę w obłokach, a serce w Paryżu?

- Paul Chenot? Och, Filipe, jak się cieszę! - wykrzyknęła, zapominając na moment o ich napiętych stosunkach.

- Kiedy nas opuszczasz, Jo? - spytał takim tonem, jakby to go niewiele obchodziło.

Spojrzała przez okno na pusty camping i podeszła do biurka, modląc się w duchu, by nikt im nie przeszkodził.

- Nie wyjadę, dopóki mi wszystkiego nie powiesz. Ty coś wiesz o moim ojcu, prawda? Kazałeś ludziom w Honfleur, aby mi nic nie mówili. Dlaczego?

- Jo... - zaczął.

Drzwi otworzyły się z rozmachem. Stał w nich Marcel, ciężko dysząc.

- Pierre! Uciekł z domu! Filip wstał z miejsca.

- Jesteś pewien? Marcel skinął głową.

- Tego ranka wszedłem do jego pokoju i nie było go tam. Pomyślałem, że poszedł do szkolnego autobusu. Przed chwilą ktoś zadzwonił ze szkoły, że go nie ma. Jeszcze raz sprawdziłem pokój... brakuje torby i jego rzeczy.

Filip od razu przejął inicjatywę.

- Może pojechał do... Rouen, do Marie-Claire. Zadzwoń do żandarmerii, a potem obaj przeszukamy wioskę.

- Jak on mógł mi to zrobić? - jęczał Marcel. - Ona będzie mnie znowu oskarżać!

Mężczyźni zapomnieli o jej obecności, dlatego po cichu wyszła z biura. Jeśli Pierre uciekł, to niezbędne jest zawiadomienie policji, ale nienawidziła już samej myśli, że mały przestraszony chłopiec może zostać zatrzymany przez obcych.

Pobiegła do mieszkania, wzięła żakiet i trochę pieniędzy, potem wsiadła do samochodu i pojechała do domu Marcela. Musiała coś zrobić, bo w głębi duszy czuła się winną przysporzenia niektórych kłopotów rodzinie Devereux, chociażby nieświadomie.

Dom nie był zamknięty. Przez chwilę wahała się, po czym otworzyła drzwi i poszła prosto do pokoju Pierre'a. Modele teleskopów były na swoim miejscu, obok łóżka leżały książki. Zwróciła uwagę na komodę, zauważyła tam

dwie fotografie. Jedna z nich przedstawiała jego matkę, ładną ciemnowłosą kobietę. Na drugiej rozpoznała trzy znajome osoby - pana Herbauta, restauratora z Honfleur i jego żonę, trzymającą za rękę małego Pierre'a.

Była to pewna wskazówka. Jazda do portu zajęła jej prawie godzinę. Zaparkowała samochód i pośpieszyła alejką do restauracji. Była zamknięta. Za-  
rośniętą dróżką podeszła do tylnego wejścia i delikatnie zapukała.

- Och, to pani! - Pani Herbaut nie wyglądała na zaskoczoną.

- Pierre uciekł z domu. Czy jest tutaj?

- Dlaczego pani tak się martwi naszym wnukiem, jeśli wolno spytać?

- Marie-Claire jest pani córką?! - wykrzyknęła zdumiona.

- Niech pani wejdzie. - Poprowadziła Jo do małej, bardzo czystej kuchni.

- Tak, Marie-Claire jest naszą najmłodszą córką. Od urodzenia była bardzo ładna i bardzo uparta. Zawsze były z nią kłopoty, ale kochamy ją!

Jo uśmiechnęła się. „Mówi jak moja matka” - pomyślała.

- Dwoje dzieci, a każda inna. Ale co się stało z Pierre'em?

Jo nie odpowiadała. Patrzyła jej prosto w twarz.

- Pamięta pani moją matkę, Annę Pearce, prawda? Pamięta ją pani, bo zna pani mężczyznę, z którym się związała! Niech mi pani powie, kto to jest?

Kobieta wyglądała na zakłopotaną.

- Myślę, że będzie lepiej, jak poczeka pani na mojego męża.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Pierre wpadł do jadalni i rzucił się w ramiona babki. Jo siedziała jak nieprzytomna, mocno oszołomiona swoim odkryciem. Za chłopcem ktoś wszedł. Zdziwiona rozpoznała Johna Headleya.

- Dzięki Bogu, znalazłeś go. Gdzie on był?

- Siedział przy drodze, mniej więcej piętnaście kilometrów stąd.

- Jak mogłam go nie zauważyć?

Anglik uśmiechnął się.

- Znalazłem go przed godziną. Potem byliśmy w kawiarni i zjedliśmy porządne śniadanie. Jego ojciec już wie, że chłopiec jest bezpieczny i wkrótce przyjedzie po niego.

- Jesteś bardzo dobry! - cicho powiedziała Jo.

- Zrobiłem to, bo lubię Pierre'a, oboje go lubimy. - Zawahał się. - Rozumiesz, Cecile i ja nigdy nie mieliśmy dzieci. - Poczekał, aż Madame wyprowadzi chłopca z jadalni i cicho mówił dalej. - Jest w takim wieku, że mógłby być naszym wnukiem i kiedy popsuły się stosunki między Marcelem i Herbautami - z powodu ich córki - Pierre często nas odwiedzał. Oto i sam gospodarz!

Pan Herbaut wszedł uśmiechnięty, niosąc filiżanki z kawą.

- Wszystko jest na najlepszej drodze, Pierre jest bezpieczny, Marie-Claire wraca do Marcela, a do tego usłyszałem dobrą wiadomość od Francine!

Jo omal nie rozlała kawy.

- Ale przecież to był powód ucieczki Pierre'a! Podszuchał, jak Filip i Marcel rozmawiali, że Marie-Claire nigdy nie wróci.

- Został wprowadzony w błąd. Marie-Claire do końca okresu wypowiedzenia będzie pracowała w szpitalu w Rouen, gdzie jest pielęgniarką, potem wraca do domu. Marcel nic nie mówił chłopcu na wypadek, gdyby coś nie wyszło.

Powoli dotarło do niej, że Filip i Marcel rozmawiali o niej! „Ona nigdy nie wróci”. „Czy możesz ją winić?” - to może znaczyć tylko jedno.

- Dobrze się czujesz, Jo? - Zatroskany głos Johna przywrócił ją do rzeczywistości.

Skinęła głową.

- Tak, dziękuję. Chyba już pójdę.

- Na mnie też pora. Nie mogę spóźnić się na samolot. Jo, wiem, że wkrótce opuścisz zamek, może byś została u nas? Cecile będzie temu bardzo рада. Pomyśl o tym i daj jej znać, dobrze?

Anglik wyszedł, machając ręką na pożegnanie. Jo nie ruszyła się z miejsca.

- Panie Herbaut, muszę jeszcze o coś zapytać... Położył rękę na jej ramieniu.

- Wiem, o co chodzi, ale jestem związany przysięgą.

- Ja muszę wiedzieć. Patrzył na nią ze współczuciem.

- Wobec tego radzę pomówić z Filipem de Beauclaire. Nie mogę złamać danej obietnicy. Jednak... - W zamyśleniu pocierał brodę. - Przypuszczam, że Teresa Valbert mogłaby pani pomóc.

Było pusto, gdy Jo weszła do zamku. Przeszła korytarzem do hallu i na moment zatrzymała się, zapatrzona w żyrandole i galeryjkę na półpiętrze. Minęło pięć miesięcy od wietrznego i dżdżystego wieczoru, kiedy wkroczyła w świat Filipa. Świat, którego wołałaby nigdy nie poznać!

- Czyżby duchy cię niepokoiły? - Jo drgnęła i zobaczyła schodzącą ze schodów panią Valbert.

- Nie duchy, Tereso, tylko wspomnienia. - Odetchnęła głęboko i spojrzała niskiej, siwowłosej kobiecie prosto w oczy.

- Tereso... może słyszałaś od Filipa, że poszukuję śladów, które mogłyby mi pomóc w odnalezieniu ojca.

Teresa poprowadziła Jo do saloniku. Łagodne światło powodowało, że duża biblioteka, zajmująca całą ścianę, mieniła się kolorami. Teresa odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Joanną.

- To nie Filip, a Luiza mi powiedziała. On poprosił ją o pomoc, kiedy była w Paryżu. Miała jakiś adres. Pojechali tam... - przerwała nie wiedząc, czy mówić dalej.

- Tereso, proszę - szepnęła Jo. Teresa splotła dłonie:

- Myślę, że masz do tego prawo. Na pewno chcesz wiedzieć?

Jo skinęła głową, czując ucisk w gardle.

- Mogę ci powiedzieć o tym, ponieważ Francine de Beauclaire wyjechała do Paryża z Paulem Chenotem. Jest znowu szczęśliwa i przeszłość się dla niej nie liczy. Dawno temu była tutaj Angielka, Anna Pearce. Claude de Beauclaire wynajął dla niej apartament w Paryżu. Żeglował z nią. Chodził z nią na obiady i na wino do restauracji Herbauta w Honfleur. Przypomniałam sobie ją, kiedy zobaczyłam fotografię. Oczywiście, niczego nie można udowodnić, ale jeśli to była twoja matka, to prawie pewne, że on był twoim ojcem.

Dla Jo świat zachwiał się w posadach.

- To ty zostawiłaś fotografię pod drzwiami! W jaki sposób dostałaś się do mojego mieszkania?

Dziwne, że mogła mówić normalnym głosem i nie czuła żadnych emocji. Skoro Claude de Beauclaire był jej ojcem, wszelkie szanse na szczęście z Filipem rozwiały się!

- Pierre nalegał na jej zwrot To było tego feralnego dnia z podejrzeniem zatrucia w twojej restauracji. Mieszkanie było zamknięte, więc zostawiłam fotografię przy drzwiach. Od razu wiedziałam, że chodzi o kogoś, kogo spotkałam dawno temu. Nie pamiętałam tylko, kim ona była.

Jo podchwyciła wąż.

- Jesteś pewna, że to ta sama dziewczyna, która bywała w zamku?

Teresa wyciągnęła z kieszeni fartucha pęk kluczy i podeszła do biblioteki. Pod dolnymi półkami znajdowały się długie szuflady. Otworzyła jedną z nich i wyjęła album w czerwonej oprawie.

- Popatrz tu, na górze.

Rozpoznała Clauda de Beauclaire, którego widziała już na innych fotografiach i swoją matkę, rozpromienioną i stojącą obok niego. Na ciemnym papierze poniżej ktoś napisał białym atramentem imię „Anna”. Teraz nie było żadnych wątpliwości.

- Czy ktoś jeszcze widział tę fotografię? - Jo ledwo mogła mówić.

- Tylko Filip i Luiza. „Filip i Luiza”.

Teresa Valbert jest szczęśliwa, bo zawsze chciała, żeby oni oboje pobrali się. Teraz nic nie stoi na przeszkodzie.

Oczy Jo napelniły się łzami, kiedy jeszcze raz spojrzała na fotografię.

- Tereso, ona nie żyje, ale... w tej chwili, po raz pierwszy ożyła dla mnie. Powiedz mi, dlaczego nazywała go Jo-Jo? - dodała, jakby do siebie.

- Claude miał na drugie imię Joseph.

Nie było sensu zostawać dłużej w zamku. Wsiadła do samochodu i omijając biuro, pojechała w kierunku restauracji. Wszystko było posprzątane, krzesła ustawione, lodówki opróżnione. Nie miała już tu nic do roboty. Musi wyjechać, zanim jeszcze raz zobaczy Filipa. Jej przyrodniego brata!

W pośpiechu wrzuciła rzeczy do walizek, na końcu oprawioną fotografię matki. Ciotka Helena na pewno będzie zadowolona. Zakończyła długie poszukiwania swojej tożsamości. Może babcia Pearce w końcu się z tym pogodzi.

Dlaczego Filip nic jej nie powiedział? Przecież poznał prawdę kilka tygodni temu, ale wymusił na wszystkich milczenie.

Nieszczęśliwa i zagniewana, wyjechała bramą z tyłu restauracji i skierowała się na Dieppe. Nikt jej nie widział. Napisze listy do przyjaciół, których tu zostawiła... i do Pierre'a. Pozostało tajemnicą, w jaki sposób fotografia dostała się w jego ręce. Może udało mu się pożyczyć z biura klucz do jej mieszkania. W zamyśleniu przegapiła zjazd na właściwą drogę i zauważyła, że jedzie w kierunku Paryża. Zanim zawróciła i dotarła do portu, zapadł zmierzch. W oddali zobaczyła tylko kontur wypływającego promu. Następny kurs był o północy. Nie pozostawało nic innego, jak kupić bilet i czekać. Dopiero teraz pozwoliła sobie na łzy.

Zdrzemnęła się na rękach, opartych o kierownicę i obudził ją hałas zapuszczanych silników. Zesztywniała i nieszczęśliwa sięgnęła do kluczyka, gdyż samochody zaczęły wolno ruszać w kierunku promu. Nie mogła poruszyć zeszywniałymi palcami, więc zaczęto na nią trąbić.

Wokół niej rozbrzmiewał gwar rozmów. Z niedowierzaniem rozpoznała górujący nad wszystkimi głos Filipa.

- Dziękuję! Znalazłem ją!

Sylwetki w mundurach rozplynęły się w ciemnościach, a w oknie auta ukazała się twarz Filipa.

- Zostaw mnie w spokoju.

Spokojnie nalegał, żeby wysiadła. Był z nim Jacques.

- Z przyjemnością odprowadzę twój samochód z powrotem do zamku - powiedział z uśmiechem.

- Przykro mi, Jacques - szybko odpowiedziała. - Nic nie zmieni już mojej decyzji. Wrócę do Anglii tym promem, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz w moim życiu!

- Byłoby szkoda. - Filip otworzył drzwi samochodu. - Jo, na litość boską! Jeśli nie ruszymy, dojdzie do międzynarodowego konfliktu!

Trąbienie klaksonów potwierdziło słowa Filipa. Pozwoliła wyprowadzić się z wozu. Trzymał ją mocno pod ramię, dopóki nie wyszli na oświetloną ulicę.

- Na początek - najważniejsze - powiedział, idąc w kierunku kawiarni. - Przyda ci się coś na wzmocnienie. Wyglądasz tak, jakbyś przez kilka tygodni nic nie jadła!

Przystąpiła do ataku:

- Powiedziałeś, że na początek najważniejsze. Otóż, mam ci parę rzeczy do powiedzenia, Filipie de Beauclair. Jak śmiesz wtrącać się do sprawy mojego powrotu do Anglii? Nie słuchasz moich protestów, ciągniesz mnie przez ulicę, jakbym była jakąś uciekinierką...

Przerwała, zauważywszy jego rozbawienie.

- Jesteś bardzo ładna, kiedy się gniewasz, Joanno Headley.

- To nie jest czas... - zaczęła. - Jak mnie nazwałeś?

- Nazwałem cię Joanną Headley, bo nią jesteś!

Usiłowała coś powiedzieć, ale wykrztusiła jedynie:



- Jak... to? - I zemdląa.

Mocne ramiona podtrzymały ją, zaś uczynny przechodzień otworzył drzwi do kawiarni. Posadził na krześle przy małym stoliku.

Małymi łydkami wypića szklaneczkę brandy, następnie zamówili omlet i kawę.

- Koniak i omlet... czy nie tak wszystko się zaczęło?

Uśmiechnął się.

- Dlaczego kobiety pamiętają takie rzeczy? Teraz masz dość siły, żeby mnie wysłuchać?

Skinęła głową i drżącą ręką odstawiła szklanke.

- To długa historia, Jo i proponuję opowiedzenie w częściach, przede wszystkim dlatego, że John jest teraz u twoich krewnych w Nottingham. Szybko uzyskał odpowiedź, jakiej potrzebował i od razu zadzwonił do mnie, ale ciebie już nie było. - Sięgnął po jej rękę, spoczywającą na stole.

Z jego palców przenikało ciepło, kojące smutek ostatnich kilku godzin. Ta słodka myśl trwała zaledwie moment, w którym zapomniała o Luizie.

- Co takiego zdarzyło się, że uciekłaś? - spytał.

- Wszyscy w Honfleur otrzymali zakaz mówienia, ale nie wzięłaś pod uwagę Teresy Valbert.

- Więc to Teresa przekazała ci... - Nie spuszczał oczu z jej twarzy. - Czy to tak bardzo dużo dla ciebie znaczy?

Przepełniona kawiarnia nie stwarzała korzystnych warunków do wyznań.

- Nagłe odkrycie, że Filip de Beauclair jest moim bratem, nie zdarza się co dzień. Postanowiłam to przemyśleć z dala od ciebie!

Cofnął rękę.

- Ale przecież my nie jesteśmy rodzeństwem! Jo, to jest prawda, uwierz mi. Twoim ojcem jest John Handley i jutro wszystko ci opowie. Teraz biorę cię z powrotem do domu.

- Do domu?

Prowadził samochód spokojnie. Po chwili zaczął mówić.

- Odkryliśmy z Luizą, że pod adresem, jaki mi dałaś, istnieje kamienica niegdyś należąca do mojego ojca. Sprawdziłem stare zapiski i znalazłem adresy jeszcze dwóch innych domów. Ojciec sprzedał je, chcąc kupić obecną posiadłość. Potem skontaktowałem się z nowymi właścicielami, którzy mieli bardzo dokładne księgi z nazwiskami lokatorów.

Na chwilę zapadła cisza.

- Zakładam, że znalazłeś tam nazwisko mojej matki?

- Kiedy sprzedał kamienicę, w której mieszkała twoja matka, zaczął opłacać za nią czynsz na nowym mieszkaniu. Wzbudziło to moje podejrzenia, które sprawdziły się, kiedy pojechałem z tobą do Honfleur. Odgadłem wówczas, że Babtysta i Herbautowie coś ukrywają. Znali przecież dobrze mojego ojca i musieli pamiętać też twoją matkę, głównie z tego powodu, że była Angielką. Trójkolorowy sweter z pewnością przywołał wspomnienia! Kiedy uświadomili sobie, jakie mogą być tego skutki, przyrzekli zachować milczenie.

- A co z Teresą?

- Teresie nie powiedziałem ani słowa. Ona lubi plotkować i czułem, że będzie lepiej trzymać ją od tego z daleka.

- Pokazała mi fotografię, tę z twoim ojcem i moją matką. Dziwnie się wtedy poczułam.

- Przez lata Teresa trzymała ten album w ukryciu. Nie chciała dopuścić, aby zobaczyła go moja matka. Ja sam musiałem wymyślić jakąś historyjkę, żeby dała mi klucz!

- Filipie, kiedy... John ci o tym powiedział?

- Przedwczoraj. Nic nikomu nie mówił do czasu, kiedy zdecydował się na skontaktowanie z twoimi krewnymi w Anglii

- Filipie...? - zapytała w końcu. - Dlaczego twój ojciec płacił czynsze za moją matkę?

Zerknął na nią.

- Ależ nie płacił! John przebywał przez kilka miesięcy w Wietnamie i chociaż mieszkanie było wynajęte na nazwisko twojej matki, wydał polecenie swojemu bankowi, aby regularnie wysyłano mojemu ojcu opłaty. Kiedy mój ojciec sprzedał dom, wówczas po prostu przelewał czynsz na konto nowego właściciela i z tego powodu jego nazwisko pojawiło się w dokumentach.

Uśmiechnęła się smutno do siebie. Prawda okazuje się zawsze taka prosta, kiedy zostaje ujawniona. Teraz musi czekać, aż inna prawda wyjdzie na jaw - czy Filip ją kocha?

## ***ROZDZIAŁ 9***

Następnego ranka przebudziła się z dziwnym uczuciem, że nie może sobie przypomnieć, gdzie i kim jest.

Wieczorem Filip zostawił ją w wiejskim domu Headley'ów razem z Cecile. Powitała ją ciepło. Powiedziała, że już przed ślubem z Johnem wiedziała o Annie, matce Jo.

- Ja nigdy nie miałam własnego dziecka, więc uwierz mi, proszę, że jestem tak samo jak John podekscytowana znalezieniem córki.

Dzień mijał bez znaku życia ze strony Filipa. Zaczął ją przytłaczać smutek, łącząc się z lękiem przed spotkaniem z Johnem Headley'em. Lubiała go, ale potrzebowała czasu na przyzwyczajenie się do nowych faktów.

Pomagała Cecile posprzątać po lunchu, kiedy przyjechał John.

- Kochanie! Przywitaj się z ojcem - ponaglała Cecile.

Rozradowany głos, wołający: "jestem w domu!" wyzwolił w niej nieznane dotąd uczucia.

- Cześć, tato! - powiedziała z uśmiechem. Anglik wybuchnął gromkim śmiechem.

- Jo, moja kochana, odziedziczyłaś po matce szczęśliwy dar radzenia sobie w trudnych sytuacjach.

Ujęła jego wyciągnięte ręce.

- Ale teraz wiem już, co mam dalej robić - powiedziała Jo łamiącym się głosem, odczuwając nie znane sobie wcześniej emocje.

- Ja też - zgodził się niepewnie. Ktoś zachichotał w progę.

- Mogę wejść?

Był to Filip, uśmiechnięty i odprężony, w marynarskim wełnianym swetrze i starannie wyprasowanych spodniach. Weszli do saloniku. Na prośbę Cecile otworzył schłodzoną już butelkę szampana, czym wywołał atmosferę odprężenia.

- Jak przyjęła to babcia Pearce? - zapytała Jo, gdy jej głos wrócił do normalnego stanu.

John uśmiechnął się.

- Na początku była na mnie strasznie wściekła, potem stopniowo jej gniew mijał i w ciągu tych kilku krótkich godzin staliśmy się parą najlepszych przyjaciół. Przecież oboje nas łączy miłość do twojej matki.

Zdziwiona Jo podniosła głowę.

- Z tego, co mówiła, nigdy nie wybaczyła Annie tej ucieczki.

- To było tylko takie wrażenie, jednak w głębi ducha chorowała ze zmartwienia. Teraz nareszcie czuje ulgę. Kazała ci przekazać, że jest z ciebie bardzo dumna.

Jo uśmiechnęła się do Johna, widząc jednocześnie, że Filip ją obserwuje. Pytanie, jakie chciała jeszcze zadać, od razu wywietrzało jej z głowy.

- John... - szybko powiedziała Cecile - ...pewnie umierasz z głodu, więc pozwólcie, że podam coś do zjedzenia.

- Moja szefowa wyjechała bez rozwiązania umowy o pracę. To straszny błąd, który musi być naprawiony - powiedział Filip, biorąc Jo za rękę.

- Kiedy będziecie jedli, my wybierzemy się do biura campingu.

Nie miała nawet czasu zaprotestować, gdy Filip prowadził ją do samochodu. Minąwszy kamienne słupki przy bramie, gwałtownie wcisnęła hamulec i odwrócił się do niej z twarzą pełną udręki.

- Jo, nie mogę czekać dłużej. Muszę wiedzieć! Popraw mnie, jeśli się mylę. Uważam, że dla ciebie było nieistotne, kim jest twój ojciec, bo chciałaś go tylko odnaleźć. Gdyby okazało się, że twój ojciec i mój ojciec to ta sama osoba, dla ciebie nie miałoby żadnego znaczenia, czy tak?

- Filipie, mylisz się! Nie wiesz, jak bardzo. Byłam taka szczęśliwa, kiedy dowiedziałam się, kim naprawdę jestem i dlatego zemdlalam, wszystko mi się poplątało!

Silne, a zarazem delikatne ręce ujęły jej twarz.

- W końcu przyszedł ten upragniony dla mnie moment i chcę ci powiedzieć, że cię kocham ponad wszystko na świecie. Niespodziewanie zjawiałaś się w moim domu, wywróciłaś do góry nogami moje plany, dotyczące wspaniałej restauracji... - Jego głos złagodniał.

- Od pierwszego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się w deszczu, rozjaśniłaś moje życie.

Oczarowana jego słowami dziewczyna dodała do nich własne wyznanie.

Wziął ją w ramiona i przycisnął do piersi, dopóki nie rozdzielił ich ponaglący dźwięk klaksonu. Byli to Francine i Paul Chenot.

Wśród śmiechów i całusów pojechali do biura campingu, by Jo mogła zabrać swoje dokumenty wraz z ostatnią wypłatą i gdzie Filip mógł ją znowu całować.

- Co będzie z Luizą? - zapytała. Spojrzał zaskoczony, po czym uśmiechnął się.

- Oczywiście nic nie wiesz o Luizie. I w tym względzie mam pomyślną wiadomość. Luiza w sekrecie utrzymywała swój związek z Bernardem, lekarzem pracującym w obozach dla uchodźców w Afryce. On właśnie wrócił i zamierzają się pobrać. Pewnie myślałaś, że Luiza chce wyjść za mnie?

- Oczekiwałam ogłoszenia waszych zaręczyn podczas mojego przyjęcia urodzinowego - przyznała.

Mocniej ją uściskał.

- Przepraszam, kochanie! Nie można było ogłaszać zaręczyn, póki nie przyjechał Bernard. Przez cały czas dręczyłem się myślą, że możemy być tylko rodzeństwem. Nie miałem sposobu, aby to rozstrzygnąć.

- Luiza zmieniła się tego lata, Filipie. Jej poglądy na życie, jej stroje! Myślałam, że to wszystko z twojego powodu!

- Czy uważasz mnie za podrywacza, który mógłby w tym samym czasie uwodzić dwie kobiety? - zapytał.

- Ale przecież beze mnie byś sobie nie poradził, prawda? - Jo z uśmiechem uwolniła się z jego ramion. - Chodźmy już, nie mogę się doczekać końca opowieści Johna.

Po powrocie do domu Headleyów zastali tam świąteczny nastrój.

- Czekamy z szampanem na wieczór, kiedy przyjdą Guilbertowie - wyjaśnił John. - Zamierzam opowiedzieć Jo, jak spotkałem Annę. Nie masz nic przeciwko temu, żeby wszyscy słuchali? Tak się składa, że ta historia dotyczy nas wszystkich.

Francine była zdumiona.

- To nieprawdopodobne, że mój mąż znał twoją matkę! Nie mogę zrozumieć, dlaczego nigdy o niej nie wspomniał, ani o tobie, Johnie, w powiązaniu z tą sprawą.

John pochylił się ku niej z czułością.

- Zapominasz, że Clauda łączyła z nami tylko przelotna znajomość. Kiedy zeszliście się ponownie, najważniejszą rzeczą w życiu stało się dla niego własne małżeństwo. O tych dwóch latach waszej separacji chciał jak najszybciej zapomnieć i wtedy my nie mieliśmy dla niego żadnego znaczenia.

- Rozumiem, lecz... kiedy spotkaliśmy się kilka lat temu, powiedziałaś mi, że znałaś Clauda, natomiast nigdy nie wspominałaś o Annie Pearce.

Dlaczego?

John uśmiechnął się.

- Jeśli mam być szczery, Francine, ukryłem wszystkie wspomnienia o Annie w moim sercu i chciałbym je tam pozostawić. To już przeszłość.

Ożeniłem się z Cecile, jestem szczęśliwy. Czy muszę dodawać coś jeszcze?

Francine przyłożyła chusteczkę do oczu.

- Teraz nieoczekiwanie odnalazłeś swoją córkę! Och, Paul! - Wyciągnęła rękę do swego narzeczonego. - Za dużo wrażeń dla mnie na jeden raz!

Filip roześmiał się.

- Uspokój się, mamó! Jo trzęsie się jak listek! Johnie opowiadaj.

- Nie lubię być w centrum zainteresowania, ale trudno, zaczynam.

- Anna i ja spotkaliśmy się pewnego listopadowego dnia w Luwrze. Od razu poczuliśmy do siebie sympatię. - Spojrzał na Jo, przytuloną do Filipa. - Proszę, uwierz mi - ciągnął dalej - to była miłość od pierwszego wejrzenia. - Tym razem popatrzył na swoją żonę, która roznosiła filiżanki z herbatą. - Cecile to zrozumie, niech będzie błogosławione jej serce!

Cecile uśmiechnęła się z czułością i przechodząc koło niego, pocałowała go w czoło.

- Opowiadaj dalej! Oni chcą dowiedzieć się czegoś o Annie, a nie o mnie!

- Bardzo szybko zrozumieliśmy, że chcemy resztę życia spędzić razem. Niestety, byłem dziennikarzem i już przedtem zawarłem umowę na wyjazd do Wietnamu. Przed moim wyjazdem było za mało czasu na ślub, ale znaleźliśmy mieszkanie w kamienicy należącej do Clauda de Beauclaire'a i wprowadziliśmy się tam. Polubiliśmy go, a kiedy przyjeżdżał do Paryża, korzystał z naszego zaproszenia i bywał u nas na obiadach. - John uśmiechnął się do Francine. - Opowiadał nam dużo o tobie i o waszych dzieciach. Potem przyszło zaproszenie

do spędzenia Bożego Narodzenia w Chateau des Fleurs, w wiejskiej siedzibie Clauda. Początkowo odmówiliśmy, chcieliśmy je spędzić tylko we dwoje. Po przemyśleniu całej sprawy zdecydowaliśmy się przyjąć je. Jo nagle zapytała:

- Teresa musiała więc wiedzieć przez cały czas o tobie i o Annie!

- Teresa i jej żyjący jeszcze wtedy mąż wyjechali na święta do krewnych.

Spotkałem ją dopiero, gdy pięć lat temu zamieszkaliśmy z Cecile w tej okolicy.

- Powiedz o Honfleur... i o tej łodzi.

- Oto pocztówka, od której rozpoczęły się moje poszukiwania.

John wziął pocztówkę i lekko uśmiechnął się.

- Pamiętam. Anna kupiła ją w przeddzień naszego powrotu do Paryża.

Przypominam sobie, jak ją pisała.

- A łódź? Czy zimą gdzieś żeglowaliście? - zapytał Filip.

- O ile pamiętam, grudzień był bardzo łagodny tamtego roku, toteż twój ojciec kilkakrotnie zabierał nas na żagle. - Uśmiechnął się. - Anna to uwielbiała i wiele razy żeglowaliśmy z Claudem.

- Ale nigdy nie przebywali sami! - wtrącił Paul Chenot. - Moja zmarła żona i ja też tam bywaliśmy.

Zdziwiona dziewczyna zwróciła się w jego stronę.

- Ty też znałeś moją matkę?

- Była drobna, ale pełna życia, zupełnie jak ty! Jo poczuła, jak Filip ścisnął mocniej jej ramię.

- Ale z pewnością musiała mówić coś o Johnie, o mężczyźnie, którego kochała.

Paul skinął głową.

- Jasne, mówiła o nim przez cały czas! Zawsze nazywała go Jo-Jo i nigdy nie poznałem jego prawdziwego nazwiska.

- Dlaczego Jo-Jo?

- Pewnie w dzieciństwie twój ojciec był nazywany przez rodziców John-Johnem.



John uśmiechnął się.

- Nienawidziłem tego przydomka, ale Anna go lubiła, więc zawarliśmy kompromis! Było dziwne, że mówiła tak mało o swojej rodzinie. Wiedziałem tylko o Nottingham, gdzie mieszkali. Myślałem, że po ślubie będę miał dość czasu na poznanie jej pochodzenia, ale los chciał inaczej. Kiedy dowiedziałem się o jej śmierci, odszukałem kilka osób o nazwisku Pearce, ale nic mi to nie dało.

- Dlaczego cię nie było przy jej śmierci? - zapytała cichym głosem Jo.

Filip wstał i podszedł do okna, podczas kiedy jego matka, Cecile i Paul wyszli do kuchni.

- Praca w Wietnamie trwała dłużej, niż początkowo było to zamierzone. Na domiar złego przyplątała mi się ciężka tropikalna choroba, co wyłączyło mnie na kilka tygodni. Nie zdążyłem wrócić do Francji. W porcie od razu do niej zadzwoniłem, ale nikt się nie zgłosił. Kiedy przyjechałem do mieszkania, nie zauważyłem żadnych śladów jej obecności. Zaalarmowałem stróża, który powiedział, że czynsz jest płacony regularnie. Przyznał, iż niektórych lokatorów nie widywał przez całe tygodnie. - Ktoś jednak musiał o niej wiedzieć - nalegała Jo.

- Claude był naszym jedynym wspólnym przyjacielem, lecz nie miał pojęcia, gdzie jest Anna. Zacząłem więc obchodzić wszystkie szpitale.

Wiedziałem o jej chorym sercu i podejrzewałem, że mogła zachorować. -

Przerwał. - Przeżyłem wielki wstrząs, dowiedziawszy się o jej śmierci.

Filip powrócił do Jo i usiadł na oparciu jej fotela. Popatrzyła na niego z wdzięcznością oczami pełnymi łez, po czym ponownie zwróciła się do swojego ojca.

- Dlaczego nie powiedziano ci w szpitalu o dziecku? Dane o moich urodzinach i o jej chorobie musiały być gdzieś zapisane.

John wolno pokręcił głową.

- Bardzo niechętnie udzielali mi informacji, ponieważ nie byłem jej mężem. Powiedzieli, że umarła z powodu wady serca, co było zgodne z prawdą. Ja przyjąłem to do wiadomości i nie stawiałem dalszych pytań.

- Z pewnością musiała pisać do ciebie, że jest w ciąży.

- W Wietnamie poczta prawie nie funkcjonowała, a w tych kilku listach, które do mnie dotarły, nie było o tym ani słowa. - Uśmiechnął się. - Twoja matka była szalenie niezależną dziewczyną.

- To rodzinne - dodał Filip, zatrzymując jej dłoń w swojej.

Jo odpowiedziała z dumą:

- Kobiety z rodziny Pearce'ów są sławne ze swojej niezależności.

Poczekaj, aż poznasz babcię!

- Mam nadzieję, że to nastąpi jak najszybciej - powiedział John wstając. - Twoja babka chce dowiedzieć się „co to za Francuz, o którym tak dużo w listach?”

- Czy plotkowała pani na mój temat, Miss Carlton? - surowo zapytał Filip.

John roześmiał się z żartu.

- Anna była taka wesoła i pełna humoru i cieszę się, że nasza córka jest taka sama. To szokujące, zobaczyć kogoś tak podobnego do niej, ale czas zniekształca wspomnienia, więc nie skojarzyłem was wcześniej. Po powrocie ze Stanów, gdy spotkaliśmy cię znowu, odkryłem w tobie coś znajomego i musiałem dowiedzieć się, czy jest między wami jakiś związek. - Uśmiechnął się w poczuciu winy. - W tym celu posłużyłem się Pierre'em do wyciągnięcia tej fotografii z twojego mieszkania.

- Może tego dnia, kiedy rozchorowali się Niemcy? - zapytała Jo, przypominając sobie wizytę, jaką złożyła Headley'om z Francine.

- Zgadza się. Musiałaś wtedy dostrzec moje dziwne zachowanie.

- Przepraszam, że trwało to tak długo. Ze względu na Cecile nie spieszyłem się z wyjaśnieniem. - Ujął ręce Jo, pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Dla mnie jest to cudownie szczęśliwe zakończenie. - Uśmiechnął się też do Filipa. - Moje błogosławieństwo dla was obojga...

Jo popatrzyła na Filipa. Dla niej małżeństwo było logicznym zakończeniem ich związku, ale czym ono było dla niego?

Filip spojrział na zegarek.

- Jo, mamy jeszcze czas, żeby podjechać do Honfleur i wrócić na uroczystą kolację. Co ty na to?

Wspaniale było sunąć drogą przez pagórkowaty, normandzki krajobraz, który już zdążyła pokochać. Prawie cała podróż przebiegała w ciszy. Jo była wdzięczna Filipowi za to, że dał jej czas do przemyślenia niezwyklej historii jej rodziców i na oswojenie się z faktem odnalezienia ojca i własnej tożsamości.

- Spójrz, Filipie! - wykrzyknęła, kiedy spacerowali później po deptaku w Honfleur. - Czy to nie Babtysta?

Mała terkocząca łódka ze zwiniętym ciasno żaglem wolno posuwała się kanałem w kierunku portu. Przygarbiony przy sterze rybak pozdrowił ich uniesieniem dłoni, tak jakby słyszał jej pytanie, a oni pomachali mu rękami w odpowiedzi.

Filip uśmiechnął się do niej i zamknął jej rękę w swojej dłoni. - Pragnę, abyś została moją żoną, abyś pomogła przywrócić dawną świetność zamkowym ogrodom i abyś gotowała mi mnóstwo pyszności...

- Co jeszcze? - spytała, patrząc rozbawionym wzrokiem.

- Pod jednym warunkiem... że powiesz „tak”. Jo, tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham i powiem tak. Tak, tak i jeszcze raz tak!

- Nie dbam o to, co powie całe Honfleur, gdy nas zobaczy - powiedział, pochylając się nad nią. - Uważam, że twoim ustom nie można się oprzeć!

Przerwał ten pocałunek. Pierre machał do nich ręką. Był z Marcelem i piękną ciemnowłosą, kobietą, która uśmiechała się do nich.

- To Marie-Claire, prawda?

- Rodzina Devereux jest znowu razem, i to dzięki tobie.

Zdziwiona, uniosła wzrok.

- Myślałam, że wręcz przeciwnie.

- Właściwie ty spowodowałaś, że Marie-Claire zaczęła poważnie myśleć o swojej przyszłości! Gdy dowiedziała się, jak bardzo Pierre przepada za tobą, oraz że Marcel uważa cię za atrakcyjną kobietę, zorientowała się, co traci.

Poszli powoli, trzymając się za ręce. Mewy nurkowały za rufą płynącej kanałem łodzi rybackiej.

- Myślę, że Richard wiedział... - powiedziała w końcu... - o twoich obawach dotyczących tego samego ojca. Filipie, czy powiedziałeś mu o tym?

- Byłem tak zmartwiony, że musiałem się komuś zwierzyć. Ty go i tak nie posłuchałaś, kiedy ostrzegał cię przed kontynuowaniem poszukiwań... Moja najdroższa, uparta do samego końca!

Spojrzała mu w oczy.

- A książka kucharska twojej babci? Podarowałeś mi ją z myślą o wspólnej babce?

Przytaknął.

- Chciałem, żebyś miała coś, co należało do angielskiej części rodziny de Beauclaire, a tylko to wydawało mi się najbardziej odpowiednie.

- Filipie, i tak coś mnie z nią łączy.

- Cóż to może być? - zapytał.

- Obie pokochałyśmy Francuza!

Jej uśmiech był pełen radości. Przyciągnął ją do siebie i delikatnie kołysał w swoich ramionach.

- Elisabeth de Beauclaire uciekła do Anglii, ale ja na to nie pozwolę.

- Mam dwa atuty przemawiające na moją korzyść. Nie mam jasnorudych włosów i zmiennych humorów, jak twoja babka, oraz zamierzam upewnić się, że drugi kontrakt, jaki zawrzemy, będzie na całe życie!

- Mam nadzieję, iż nie są to deklaracje bez pokrycia, Miss Carlton. Czy mogę im zaufać?

- Koniec z deklaracjami bez pokrycia! Obiecuję!

- W takim razie babcia Pearce sprawi sobie szybciej kapelusz na nasz ślub, niż myślała.

